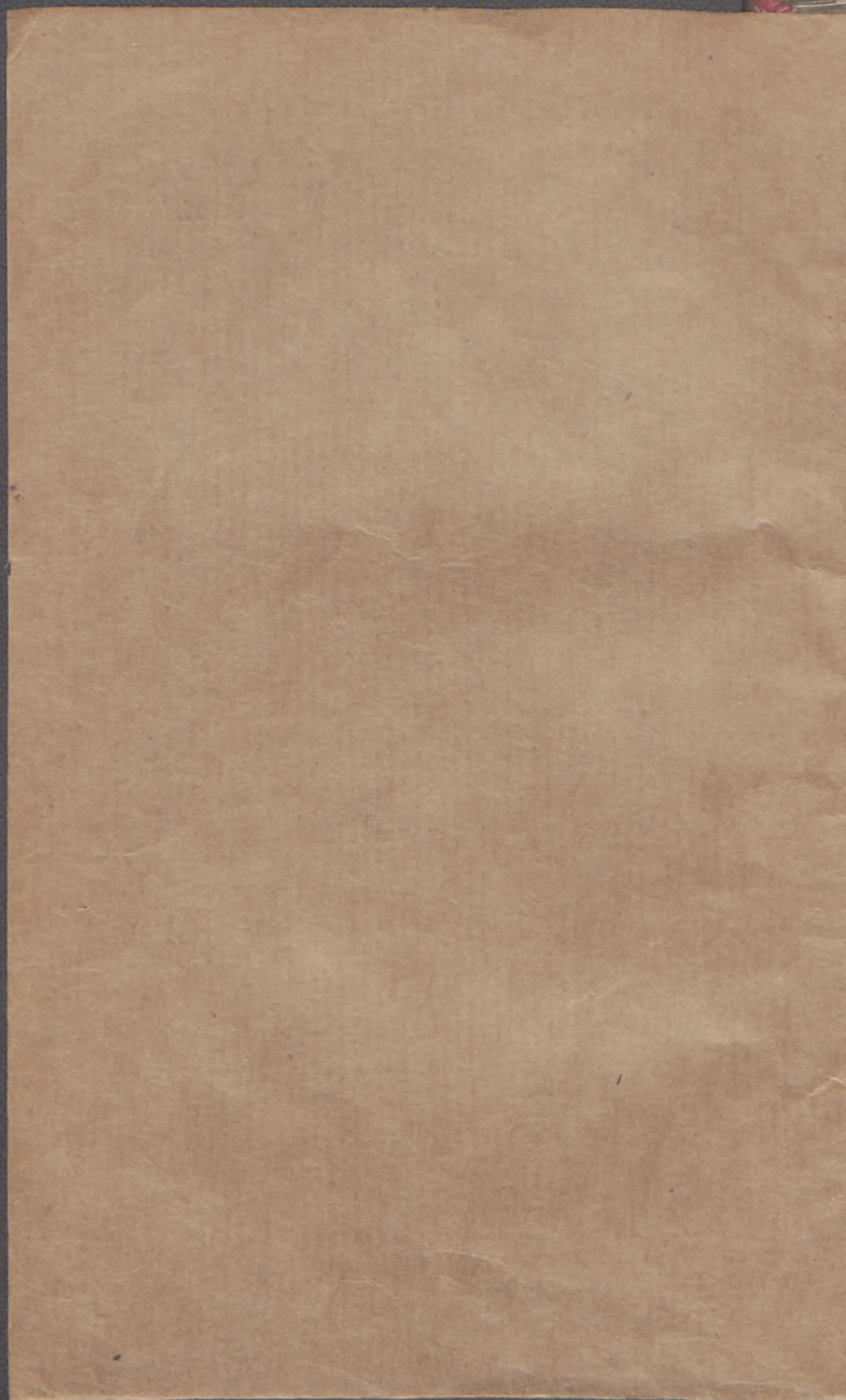


91







Urbanowska Zofia

Gucio zaczarowany

Powieść dla młodzieży  
drucci przes. Wyd. 41

91  
Warszawa 1908 Gebethner

GUCIO ZACZAROWANY.

e. b. zmirnaya

sklar  
m. g.



II. 137. 236

1954 © 107/9





w Lit. W. Głowczewskia  
m. 6.

Stanał przed lustrem umieszczonem nad kominkiem





## I.

### Kto jest Gucio i dla czego się nudzi.

Guciowi H. nie nie brakowało do szczęścia, a jednak, dziwna rzecz, nie był szczęśliwym! Miał ojca zamożnego, cieszącego się powszechnym szacunkiem, mateczkę piękną i dobrą jak anioł, siostrzyczkę nie umiejącą mu nic odmówić, o cokolwiekby ją poprosił. Miał dużo pięknych książek z obrazkami; fuzyę która chociaż nie mogła zabić nikogo, ale gdy na nią nakładał kapiszony, strzelała z wielkim hukiem i dymem; a co najważniejsza, miał ślicznego żywego kucyka maści siwo jabłko witej, którego zazdrościli mu wszyscy chłopcy z sąsiedztwa. Ojciec darował mu nowiutkie angielskie siodełko na imieniny, a siostra uszyła własną ręką wyspaniały czerwony czaprak, z cyframi solenizanta na rogach. Miał... ach, i wyliczyć trudno, co miał ten chłopiec, istny pieszczoch losu; a jednak mimo:



to wszystko, ładna jego twarzączka często bywała oszpecona wyrazem znudzenia, a usta o mało się nie podarły od ustawicznego ziewania.

Począwszy od rodziców a skończywszy na służbie, wszyscy mu dogadzali; za ledwie objawił jakieś życzenie, już przemyśliwano jakby je zaspokoić, jakby mu sprawić niespodziankę. Doszło do tego, że nareszcie sam nie wiedział czego pragnąć, posiadał bowiem wszystko czego chłopiec w jego wieku mógł potrzebować, a nawet więcej jeszcze.

Wrażliwy z natury, każdą niespodziankę przyjmował z objawami szalonej radości — ale to krótko trwało; przestając być nowością, przestawała go jednocześnie zajmować. Książki, choćby najciekawszej, nie przeczytał nigdy całej; zajrzał na początek, na koniec, przeczytał kilka kartek ze środka, poglądał obrazki i rzucał. Tak było ze wszystkim.

Dla czego tak było, ja się trochę domyślam: oto dla tego, że Guccio miał wszystkiego zanadto i że nie lubił nic robić. Był próżniaczkiem. Zabawa jest stokroć przyjemniejszą, gdy następuje po pracy — a nasz przyjaciel unikał wszystkiego, co było z trudem połączone.

Niejeden z czytelników pewnie przypisze winę tego państwu H. i zgani im zbyt dużą słabość dla syna. Ale ja co znam ich oddawna i wiem, że gdy Guccio był jeszcze bardzo mały, stracili dnia jednego odrazu dwóch chłopczyków na zaraźliwą choro-



bę, nie mogą ich potępiać za to, że nie umieli zakreslić granic swemu przywiązaniu i troskliwości, dla ostatniego jaki im pozostał — zwłaszcza że wątką, delikatną budowa chłopca, trzymała ich w ciągłej obawie o jego zdrowie.

Zdolności Guciovi nie brakowało: bystry był, pojętny, ale miał nieprzewyciężony wstręt do nauki, która, jak każda praca, musiała być połączona z pewnym trudem. Bywało naprzykład że panna Anna, nauczycielka, wykladała mu coś i dobiera wyrazów, jak najprzystępniej malujących przedmiot, a on te wyrazy jednym uchem wpuszcza a drugim wypuszcza, i tylko myśli o tem, że białe gołębie jego przyjaciela Janka są ładniejsze od jego szarych gołębi, i że musi się z nim pomieniać — albo, jakby też wyglądał jego kuzyk, gdyby mu ogon zawinać w papiloty, a na łeb włożyć pasterski kapelusz Helusi. To też gdy panna Anna każe mu powtórzyć to co słyszał, powtarza tylko słowo w słowo, co mu siostra z litości podpowie; albo jeżeli mu przypadkiem tej dobroczynnej pomocy zabraknie, odpowiada piąte przez dziesiąte i miesza wszystko razem, niby groch z kapustą.

Panna Anna, osoba bardzo dobra i szczerze do obojga dzieci przywiązana, napominała go łagodnie raz, drugi, trzeci, ale gdy to nie skutkowało, szła do mamy. Gucio kochał swoją matkę nad wszystko w świecie, i nie było dla niego sroższe



kary, jak widzieć ją zmartwioną—to też taka nara-  
da z panną Anną, odbywająca się przy drzwiach  
zamkniętych, budziła w nim zwykle wszystkie gło-  
sy sumienia. Z bijącym sercem patrzył z drugie-  
go pokoju w te drzwi; a gdy nareszcie otworzyły się  
i mama wezwawszy go do siebie, wyrzucała mu jego  
niedbalstwo, tak ją przeproszał i całował po rę-  
kach, tak płakał, tak gorąco obiecywał poprawę, że  
dobra mateczka zawsze przebaczyła, uściskała syn-  
ka, a co najważniejsza, uwierzyła w jego przyrzeczenia.

A jak tu było nie wierzyć, kiedy słowa Gu-  
cia tchnęły taką prawdą, a na twarzyczce malowało  
się zmartwienie tak głębokie, że aż żal było patrzeć!  
Czy jednak dotrzymywał tych przyrzeczeń? Nie-  
stety! łatwiej jest obiecać niż dotrzymać. Miał on  
dobre serce, kochał rodziców i siostrzyczkę i gotów  
był w każdej chwili skoczyć dla nich w ogień lub  
w wodę, choćby go to życie mało kosztować—tak  
mu się przynajmniej zdawało—ale... popracować  
nad czemś, przelać swoje łezki, tego nikt na  
nim nie wymógł. Może to komu dziwnem się wy-  
da, że ofiara z życia łatwiejszą się zdawała Gucio-  
wi, niż na przykład nauczenie się tabliczki mnożenia—  
a jednak tak było; bo dla poświęcenia życia wystar-  
cza nieraz jedna chwila, a tabliczki mnożenia trzeba  
się uczyć kilka dni pilnie i z uwagą—na takie zas-  
bohaterstwo trudno mu się było zdobyć. Miewał  
on tysiące pięknych zamiarów, silnych postanowień



—ale wszystkie, których natychmiast nie można było wykonać, kończyły się na niczem, bo mu brakowało wytrwałości.

Gucio wiedział o tej wadzie swego charakteru, i nieraz przy wieczornym pacierzu dawał sobie słowo, że „od jutra rana będzie innym“. Gdy przyszło owo „jutro“, wstawał rano, ubierał się spiesznie, zasiadał do książki, i... żał mi powiedzieć, ale muszę, bo prawda przedewszystkiem—zanim nadeszło południe, zaczął zagłuszać w sobie głos sumienia i prosić je o pobłażanie „na dziś tylko jeszcze, bo od jutra niezawodnie już poprawę rozpocznie“.

Po takim oszukaniu samego siebie, uczuwał zawsze trochę wstydu przed sobą, ale uspokajała go myśl, że „jutro z pewnością już będzie inaczej“ — i cieszył się zawczasu radością jaką sprawi matce. Nazajutrz jednak najczęściej znalazła się jakaś przeszkoda, albo goście do niego przyjechali, i poprawa znowu się odkładała. Czasem, jeżeli to był piątek, wybierał na tę poprawę poniedziałek, bo zdaniem jego, w sobotę jako ostatni dzień tygodnia, zaczynać nie było warto. Tak mijały dnie, tygodnie i miesiące...

Ojciec zajęty od rana do wieczora gospodarstwem, nie mieszał się wprawdzie do nauki syna, ale widział zło i przypisywał je temu, że wychowanie Gúcia spoczywało przeważnie w rękach nazbyt łagodnych kobiet: że zaś sam zająć się nim nie miał



czasu, więc niejednokrotnie już chciał do domu d  
 sprowadzić jakiego zdolnego, wymagającego a suro- l  
 wego nauczyciela. Ale Guccio ilekroć kazano mu a  
 dłużej siedzieć przy książce, narzekał zaraz na gło- V  
 wę; więc matka obawiając się aby nauczyciel nie o  
 męczył nadto jej jedynaka, i żeby wskutek tego nie s  
 ucierpiało jego zdrowie, wypraszała u męża zwłokę p  
 na czas jakiś jeszcze, dopóki Guccio trochę nie pod-  
 rośnie, i nie nabierze zdrowszej cery.

Służba tak męska jak żeńska, bardzo lubiła pa-  
 nicza. Jak go tu nie było lubić, kiedy był dla  
 wszystkich greczny, uprzejmy, a przytem taki mi-  
 ły, taki przylepka! Jak go nie było lubić, kiedy  
 dzielił się ze wszystkimi każdym przysmakiem  
 otrzymanym od rodziców; a gdy dostał pieniędzy  
 od ojca, to póty go one niepokoiły w kieszeni, póki  
 wszystkich nie rozdał! Jak go nie było lubić, kiedy  
 powierzchownością swoją nad wyraz wdzięczną, po-  
 ciągał oczy wszystkich! Jego wielkie błękitne oczy  
 pełne były blasku i życia; włosy jasne ze złocistym  
 połyskiem, w gęstych zwojach spadały mu na ra-  
 miona, a delikatna, przezroczystej białości twarzycz-  
 ka, przypominała twarze aniołków z obrazów sław-  
 nych malarzy.

Guccio nie był dumnym ze swej piękności, choć  
 o niej wiedział; przeciwnie, gniewało go to, gdy  
 starsi unosząc się nad nią, mówili że wygląda jak  
 panienka—gardził bowiem wszystkim, co było ro-



domu dzaju żeńskiego, nazywając to „babami“. Jedna tyl-  
 suro-ko mateczka w przekonaniu jego nie była „baba“,  
 o mu-ale istotą wyższą nad wszystko, była świętością.  
 gło-Wiele byłby dał za to, żeby mieć cerę ogorzałą jak  
 el nie-ojciec, i pod nosem coś naksztalt wąsów, ale nie-  
 o nie-stety! to coś nie pokazywało się, chociaż był już  
 włokę-przecież mężczyzną, miał ósmy rok!

pod-

a pa-

ł dla

i mi-

kiedy

kiem

ędzy

póki

kiedy

, po-

oczy

stym

a ra-

zycz-

sław-

choć

gdy

ła jak

o ro-

## II.

### Gucio obchodzi swoje imieniny.

---

Imieniny Gucia obchodzono zawsze uroczyście: zjeżdżali się wszyscy chłopcy z sąsiedztwa i bawili w przeróżne gry, a pani H. wyprawiała im suty podwieczorek na świeżem powietrzu. Uprzejmość gospodyni domu, jej gościnność i umiejętność przygotowywania różnych miłych niespodzianek, znana było powszechnie—to też mali przyjaciele Gucia oczekiwali zawsze z niecierpliwością zaproszenia, a otrzymawszy je, nie posiadali się z radości.

Od rana już kucharka Jędrzejowa, wielka w swoim zawodzie mistrzyni, upiekła ogromny placek z wiśniami i aż dwa półmiski wybornych kruchych ciastek, za którymi chłopcy przepadali—a teraz, chociaż dopiero południe minęło, spieszy się z nadziejaniem kurcząt jakby ją kto napędzał, i wo-



ła na gospodynię o śmietaną a na ogrodnika o sałatę i szparagi; słyhać tłuczenie, siekanie, brzękanie, a po całym domu rozchodzą się zapachy, od których pies i kot kręcą ogonami, i tak uparcie pilnują kuchni, że ani sposób ich wypędzić.

Gucio jest wszędzie: w pokoju, na dworze, w kuchni—ale nigdzie nie siedzi dłużej nad kilka minut; był i znowu go niema! Jest w nim coś, co mu nie daje usiedzieć na miejscu, jakaś siła popychająca go gdzieś, do czegoś, którą on czuje, ale nad którą się nie zastanawia, i to nietylko dziś, ale zawsze. To coś niewytłomaczonego, ta siła popychająca, istnieje w duszy każdego człowieka, czy to małego czy dużego: jest to wrodzony nam popęd do działania, który, jeżeli skierujemy do poważnej, użytecznej pracy, przynosi nam spokój i zadowolenie — w przeciwnym razie budzi w nas ciągły niepokój, pragnienie i szukanie niewiadomo czego, czyli jednym słowem, nudę.

Helusia przygotowywała właśnie w jadalnym pokoju owoce dla spodziewanych gości, gdy wszedł Guccio i rzuciwszy się na fotel z biegunami, zaczął się gwałtownie kołysać.

Helusia była zupełnie inną niż braciszek, tak pod względem powierzchowności jak i charakteru. Starsza od niego o lat parę i nad wiek wyrosła, wyglądała zdrowo jędrnie i nie chorowała nigdy. Była może zbyt tęgą i zbyt rumianą; to też ruchy jej

choć zręczne, ani w połowie nawet nie miały w sobie tej lekkości i wdzięku, jakimi odznaczało się każde poruszenie Gucia. Twarzyczkę miała okrągłą, sympatyczną, oczy podobne do oczu brata, spoglądające pogodnie, i dwa duże płowe warkocze spadające na plecy. Helusia była o tyle poważna, o ile Gucio żywy i roztargniony—a naukę lubiła o tyle, o ile on nie cierpiał. On rzadko kiedy pamiętał o czemś więcej prócz własnych przyjemności, nad których wynajdywaniem ciągle się mżolił; a ona pamiętała o wszystkim i o wszystkich, tylko o sobie zapominała. Ona gotowa była zawsze innym służyć, a on ustawicznie czegoś od każdego żądał, wszystkich chciał mieć na swoje usługi, i mimo dobrego serca jakie miał, był w gruncie samolubem.

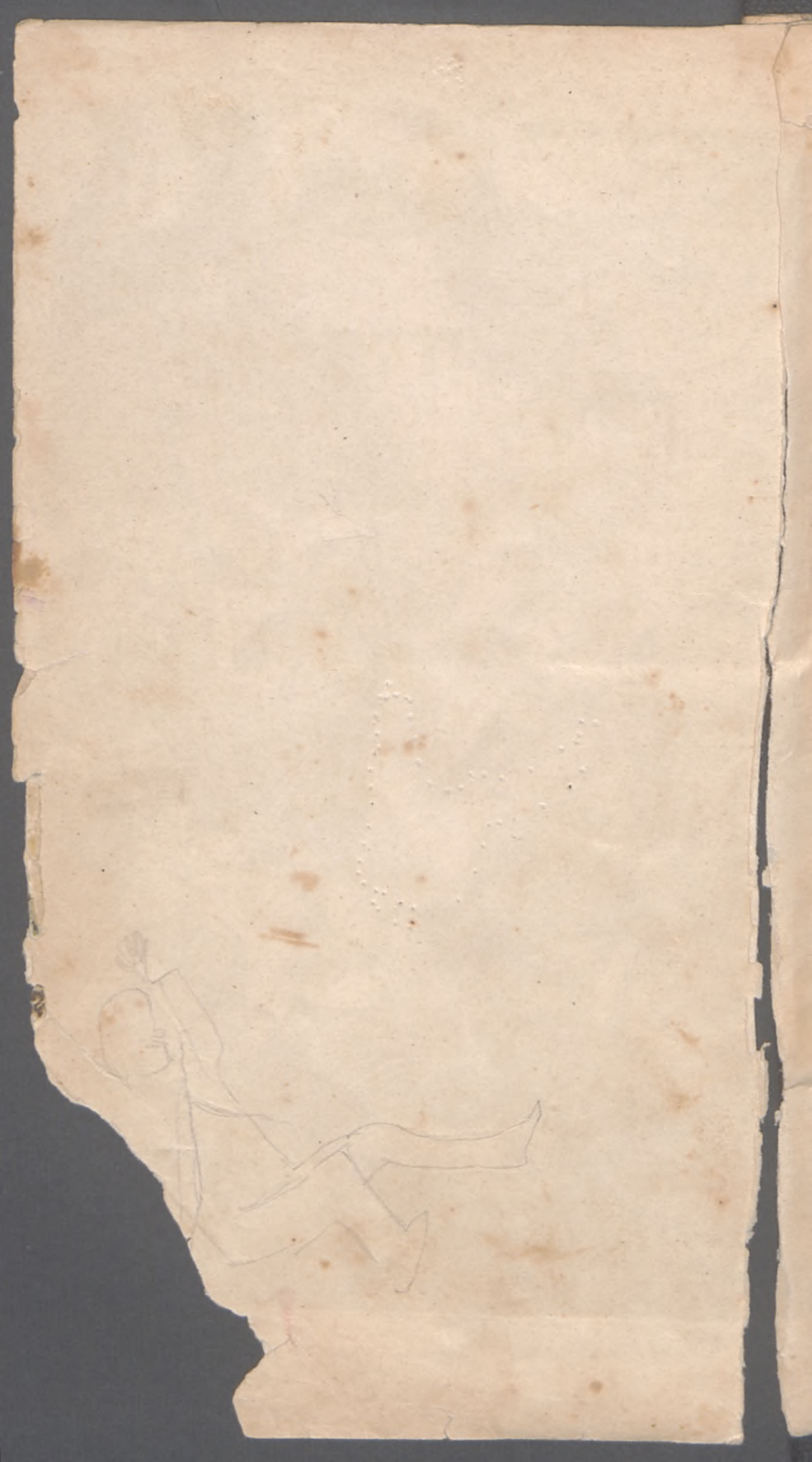
Helusię ojciec zwykle nazywał małą gospośią—lubiła bowiem bardzo krzątać się około gospodarstwa, i najszcześniejszą się czuła, gdy mogła w czem wyręczyć mateczkę. I teraz oto stojąc przed kilkoma koszykami, które jej przyniósł ogrodnik Maciej, wyjmowała z nich porzeczkę, poziomki, maliny, czereśnie i układała w mniejsze płaskie koszyczki, wyłożone winnemi liśćmi.

Gdy Gucio się zjawił, wybrała kilka najpiękniejszych rubinowych malin, i ułożywszy je na <sup>1</sup>okazałym liściu jak na talerzyku, podała mu, <sup>2</sup>dygając przytem z przesadną grzecnością.





Gucio okazał zdolności dzielneg





dność, bo polegli zmartwychwstawali i na nowo walczyli w szeregach.

Starsi przypatrywali się bitwie odbywającej się na ogromnym trawniku, i przyklaskiwali walczącym, co podniecało jeszcze ich zapał. Guccio okazał zdolności dzielnego dowódcy; wszędzie pierwszy, narażał się na największy ogień, i z pogardą patrzył na kule papierowe padające dokoła niego jak grad. Nieustraszność ta, nawet na przeciwnikach czyniła wrażenie—i gdy nareszcie niespodzianym, zręcznie wykonanym obrotem, udało mu się otoczyć i rozbroić wodza nieprzyjacielskiego, oba wojska zaczęły wydawać na jego cześć zapalczywe okrzyki.

Guccio w swoim stosowanym kapeluszu ozdobionym niebieską kokardą, którą sobie wyprosił u matki, z kitą z drobno strzyżonego papieru, powiewającą wspaniale z wiatrem, z twarzą rozplamioną i oczyma błyszczącymi zapałem, wyglądał jak rycerz z bajki—i jak rycerz z bajki ugiął kolano przed swoją mateczką, a ona młodemu zwycięzcy włożyła wieniec dębowy na skronie. Zabrzmiały znowu okrzyki; ale młody bohater syt sławy, zmusił wojsko do wiwatów na cześć mateczki, którą sobie wybrał za damę swoich myśli, jak słyszał że to czynili niegdyś rycerze na turniejach, składając publiczny hołd niewiastom. Wołano więc: „niech żyje“! podnosząc w górę kapelusze, a echa powtarzały: niech żyje! niech żyje! Okrzyki te wzmożły się jeszcze, gdy



wszyscy żołnierze ozdobieni zostali wspaniałymi orderami, przygotowanymi zawczasu przez panią H. i Helusię, ze złotego i srebrnego papieru. Jak matczka ścisnęła i całowała swego synka, jak się cieszyła z jego tryumfów, zrozumie każdy kto ma matkę.

Podczas gdy służba ustawiała stoły na pobożowisku i nakrywała je do podwieczorku,

„Wsparci na mieczach wojownicy, stali  
I o wypadkach bitwy rozmawiali“.

Marsz przez dziedziniec do stołów, był prawdziwym pochodem tryumfalnym. Najprzód szedł dobosz i drewnianą pałeczką bębnił w okazały czerwony bęben; za nim szli trębacze, trąbiąc na trąbach utworzonych naprędce z dziesięciu palców. Dalej postępował Gucio w wieńcu dębowym, a za nim wojsko z podniesionymi trzcinowymi karabinami. Przypatrywała się temu cała orkiestra skrzydlata: wróble, wiwilgi, szczygły, sikory, i wyśpiewywała fanfary na cześć walecznych rycerzy.

Gdy nareszcie wojsko przypuściło atak do półmisków, nie nie oparło się młodzieńczemu apetytowi — wszystko zostało zmiecione. Nie dawano pardonu ani pieczeni, ani sałacie, ani ciastkom, ani biednym kurczakom, z których każdy, trzymając pod jednym skrzydełkiem swoją wątróbkę a pod drugim żołądek, wyglądał tak, jakby chciał um-



knąć niepostrzeżenie napowrót do kurnika. Co było na placu, to się uważało za nieprzyjaciela. Puhary napełnione obficie wodą z sokiem porzeczkowym, malinowym i cytrynowym, krążyły gęsto, dowodząc że „kto dobry do wybitki, ten dobry i do wypitki”—a za każdym wzniesionym toastem, Janek przyjaciel Gucia strzelał z jego fuzyi, co wywoływało głośny zachwyt biesiadników.

---

### III.

## Gucia spotykają aż dwie niespodzianki.

Gdy chłopcy przypuszczali ostatni szturm do koszyków z owocami, dały się słyszeć jakieś szczególne, z lasu blizkiego płynące dźwięki, podobne do odgłosu rogu myśliwskiego albo trąbki pocztowej. Spoglądano po sobie pytająco, ale nikt nie mógł odgadnąć coby to znaczyło; nawet państwo H. nie wiedzieli co myśleć—nikogo bowiem więcej nie spodziewano się dnia tego. Wszyscy zbliżyli się do sztachet, przez które widać było biały piaszczysty pas drogi wychodzącej z lasu, i przerzynającej złościste łąny zboża. Jakoż wkrótce trąbka odezwała się wyraźniej, głośniej, a z lasu wysunął się duży pakowny powóz, zaprzężony w cztery dobre konie.



— Ojciec! ojciec! — zawołała pani H. tknięta radosnem przecuciem, i wybiegła na drogę, a za nią pan H., Helusia, Gucio, panna Anna i służba.

Chłopiec nie posiadał się z radości. A więc dziadek którego rzadko widywał, i o którym mateczka mówiła mu zawsze z uwielbieniem, przybywał nareszcie ich odwiedzić—co za niespodzianka! Przybywał w dzień imienin wnuka, a więc jakby dla niego—co za szczęście!

— Jak się macie, moje dzieci, jak się macie — mówił starzec wysiadając ostrożnie z powodu swej nogi drewnianej, przy pomocy pana H. i jakiegoś młodzieńca przyjemnej powierzchowności, który z nim przyjechał.—Chciałem jeszcze raz odwiedzić was przed śmiercią, zobaczyć jak tu żyjecie i jak mi wychowujecie wnuki. Przedstawiam wam pana Czesława T., który świeżo pozyskał stopień doktora filozofii w uniwersytecie krakowskim i zamierza poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. Zaczynajcie go poznacie, pokochajcie go niezawodnie.

Córka tuliła się ojcu do piersi, dzieci całowały ręce, służba cisnęła się do kolan. Starzec wszystkich witał serdecznie i obejmował—najtkliwiej zaś i z widocznem wzruszeniem głaskał jasne główki dzieci.

Państwo H. chcieli ojca prowadzić do pokoju, ale oparł się temu mówiąc, że grzechem byłoby siedzieć między czterema ścianami, gdy Pan Bóg

dał dzień tak piękny. Przyniesiono więc z pokoju wygodne krzesło z poręczami i postawiono na ganku.

Piękną była postać tego dziadka: oczy niebieskie, pomimo siedemdziesięciu lat pełne jeszcze życia, patrzyły na świat pogodnie; włosy i wąsy białe jak mleko, odbijały od twarzy czerstwej i rumianej. Pomimo nogi drewnianej, chodził starzec prosto, trzymał się krzepko, a zasobami siły moralnej i fizycznej, mógł był kilku młodych obdzielić.

Gucio ze złością patrzył w szlachetne oblicze, będące obrazem dzielnego, niczem nie dającego się przygnębić ducha. Uwielbiał żołnierską postawę dziadka, jego twarz ogorzałą i wąsy sążniste. Ach co za wąsy!

— No, bębny—mówił starzec—chodźcie tu do mnie, tu, bliżej, niech wam się przypatrzę, bo to już dwa lata przeszło minęły, jak was widziałem. Asińdzka, panno wnuczko, wyglądasz mi na dzielną dziewczynę: rumieńce są, ciała nie brak, oczy jasne, pogodne... a, i kluczyki za pasem. Dobrze, dobrze, kontent jestem z aśki: będzie z ciebie porządna kobieta. Ale waść, panie wnuku, coś mi się nie podobaś — mówił dziadek patrząc bystro w twarz chłopca. — Hm, hm, w twarzy waszmości brak czegoś, czegoś coby dzielnego chłopca znamionowało. Do kata, wyglądasz mi na babę!

Gucio oblał się cały purpurą. Nie mogło być



dlań większej obelgi, nad to co usłyszał. Łzy mu w oczach stanęły.

— A to co?—pytał dziadek, wskazując na wieńiec zdobiący głowę chłopca.

Mateczka wiedziała dobrze, jaką przykrość zrobiły Guciovi słowa dziadka, skorzystała więc z tego zapytania, żeby opowiedzieć rycerskie czyny swego syna. Starzec słuchając, wypogadzał się stopniowo.

— Jest krew w chłopcu, jest—szepnął do siebie—trzeba go tylko porządnie wychować. No, no, —rzekł głośno—nie płacz waść! mam tu dla ciebie podarunek, a prawdę mówiąc dwa podarunki, ale o drugim dowiesz się dopiero później. Będzie to dla waszmości niespodzianka. Tymczasem bierz to!

I włożył Guciovi w ręce mały srebrny zegarek, z łańcuszkiem misternie wyrobionym z tego samego kruszcu.

Chłopiec osłupiał. O tak wspaniałym podarunku nie marzył nawet. Zegarki udające że chodzą, miewał nieraz; ale żeby mieć zegarek idący naprawdę i to bez odpoczynku, taki sam jaki mają dorośli panowie, tego się nie spodziewał! Co za wspaniały dar! Nie wierząc własnemu szczęściu, przykładał go kolejno to do jednego ucha, to do drugiego: zegarek szedł, nie stawał ani na chwilę: tyk, tyk, tyk. Ucałował gorąco ręce dziadka, i pobiegł do towarzyszy, żeby się przed nimi pochwalić.



Co to za przyjemność, mózdz naprzykład powiedzieć do kogoś: — Ciekawym czy nasze zegarki równo idą?—i wyjąć swój z kieszonki z pozorną obojętnością, dla porównania niby. Albo iść do kuchni mówiąc: — Spóźniacie się z obiadem Jędrzejowa; patrzcie, już dwunasta! — i ukazać zegarek zdumionym oczom pocziwej kobiety! Teraz, gdy ma zegarek i widzi jak czas płynie, poprawi się z pewnością; będzie siedział od godziny do godziny przy książce, nie wstanie, żeby tam nie wiem co! Wyraźnie brakowało mu dotąd zegarka, żeby się uczył jak należy. Tak, musi się poprawić, zacznie zaraz od jutra, i to dzięki zegarkowi. A mateczka! mateczka, jaka będzie szczęśliwa!

Pod wpływem nowego wrażenia, zapomniał zupełnie że go tylko co przyrównano do „baby“ i że miał z tego powodu ochotę płakać.

Chłopcem, którzy zrazu byli świadkami przywitania gości z domownikami, a potem powrócili do swoich owoców, oczy się zaświeciły na widok zegarka: wydzielali go sobie z rąk, aż Guccio wołał żeby mu nie rozerwali łańcuszka. Każdy chciał go wziąć w rękę: każdy musiał potrzymać przy obu uszach, żeby się dowodnie przekonać że idzie: tyk, tyk, tyk. Zachwyty był trudny do opisania; najwięcej jednak oczarowany został zegarkiem przyjaciel serdeczny Guccio, Janek. Połowę życia oddałby bez wahania, byle mógł go choć jeden dzień ponosić.



— Słuchaj Guciu — rzekł odciągając go na bok—u nas jutro będą ryby łapać w Czarnym stawie, wiesz, pod lasem. Poproszę twojej mamy, żeby ci pozwoliła jechać ze mną. Będziemy łódką pływać, ryby łapać, a jak nałapiemy, to sobie każemy usmażyć. Nasza Kulasińska paradnie smaży, powiadam ci, tylko palce oblizywać! Dam ci moją wędkę i tyle robaków, ile tylko będziesz chciał; mam je naszykowane w dołku, w rowie. A ty mi za to pozwolisz na ten czas swojego zegarka, dobrze?

Łódką jeździć, ryby łapać, w to graj Gucio-wi. U państwa H. gospodarstwa rybnego nie było, bo mały staw w ogrodzie, jedyny w całej wiosce, do połowy zarośnięty był sitowiem. Płynęła wprawdzie tuż za wioską rzeczka i Gucio jeździł po niej niegdyś łódką, a nawet zdawało mu się, że umie wiosłować; ale od czasu gdy stary Antoni, który jego i Helusię woził, umarł, ojciec nie pozwolił im już z nikim puszczać się na wodę. Niezmiernie się więc ucieszył propozycją Janka, bo to obiecywało mu szereg ulubionych, a tak dawno nie doświadczanych rozrywek. Rzucił się przyjacielowi na szyję i wszystko przyobiecał.

Przyjemności, zaszczyty, dary i niespodzianki, sypały się w tym dniu na naszego przyjaciela jak z rogu obfitości. Był szczęśliwym nad wszelki wyraz. Czy tylko mama pozwoli jechać z Jankiem? Pozwoli, pozwoli, czemużby nie miała pozwolić! Ma-



ma zawsze jest rada, gdy Gucio się zabawi. Tak. Ale... poprawa... co z poprawą będzie?.. Hm, to jakoś nie ładnie... Eh, nauka nie ucieknie, a ryby drugi raz nie prędko łowić będą! Zresztą, to już jest prawie koniec miesiąca — czy nie lepiej zacząć poprawę od pierwszego? Wszystko już pójdzie regularnie, jak w zegarku. Ach ten zegarek, jaki on śliczny!

Ale dziadek mówił o jakiejś drugiej niespodziance — co to może być? Co można ofiarować młodzieńcowi posiadającemu konia, siodło, fuzę i zegarek? Chyba frak! Tak, niezawodnie dziadek frak mu przywiózł, mały zgrabny fraczek z cienkiego czarnego sukna, zastosowany do jego kształtów i wzrostu. Drogi, kochany dziadunio!

Nadzieja posiadania fraka, wprawiała go w szal niemal. Wprawdzie nie słyszał jeszcze nigdy, żeby dzieci nosiły fraki; ale ojciec powtarzał zawsze, że „nie trzeba dzieci lekceważyć, bo to są mali ludzie“. Gucio więc był małym człowiekiem, nie dzieckiem, a jako taki, miał prawo do wszystkiego co wolno ludziom dorosłym. To tylko dziewczęta są dziećmi — mężczyzna jest dojrzały już od urodzenia!

Widząc, że koledzy gorliwie jeszcze pracują nad opróżnieniem koszyków ze znajdujących się w nich owoców, pobiegł ku domowi, żeby stanąwszy dziadkowi na oczach, przypomnieć o obiecanej niespodziance.



Wszyscy siedzieli na ganku, tak jak ich odchodząc zostawił, z tą różnicą, że stał tam teraz stół zastawiony obficie, a przed dziadkiem butelka omszałego wina i mała srebrna czarka. Na pozór żadnej innej zmiany nie było, jednakże wszyscy mieli twarze poważniejsze niż poprzednio, a oczy pani H. były nawet trochę wilgotne, jakby od łez tylko co uronionych. Dziadek coś prawił przekonująco, a wszyscy zdawali się z nim zgadzać. Gdy Gucio się zjawił, rozmowa urwała się nagle. Tknęło go jakieś niedobre przecucie, i stanął z pewną nieśmiałością na boku.

— Chodźno tu chłopcze—odezwał się dziadek popatrzysz na niego uważnie—chodź, mówiliśmy właśnie o tobie.

Gucio serce bić zaczęło.

— Dowiaduję się, że asan masz wstręt do książki i lubisz się tylko bawić, a o robocie ani du-du. Wiedziałem ja już o tem z listów twego ojca i zawczasu przygotowałem ci niespodziankę. Tak dłużej być nie może, bo wyrosłbyś na bałwana.

To mówiąc wskazał na młodzieńca, który z nim przyjechał.

— Ten pan będzie tak łaskaw, że od jutrzejszego dnia rozpocznie z tobą naukę i żadnych wy-mówek słuchać nie będzie. Panna Anna była dla wasana za łagodna, zwyczajnie jak kobieta; prze-



dziesz w mężkie ręce. Trzeba wziąć się w kupe, mości panie! za dwa lata musisz iść do szkół. Chłop duży, niedługo ojca przerośnie, a w głowie pustki. Słychane rzeczy!

Gucio podczas całej tej mowy bladł coraz bardziej, aż w końcu stał się tak białym jak jego kołnierz od koszuli; a gdy się nareszcie skończyła, spojrzął kolejno po obecnych z wyrazem bezgranicznej rozpaczki, jakby szukając dla siebie obrońcy przeciw tyranii dziadka. Ale wszyscy mieli na twarzach wyraz przyzwalający na zmianę, mającą zajść w dotychczasowem życiu Gucia. Najdłużej zatrzymał wzrok na matce, lecz i u niej zobaczył ten sam wyraz, pomimo że jej oczy patrzyły na syna z miłością i współczuciem.

Wszyscy go więc odstąpili, nikt nie przemówił za nim ani jednego słowa! był sam... sam jeden przeciwko wszystkim... Ach to okropnie... Gdzie tu nawet myśleć o wyjeździe z Jankiem! Więc jego dotychczasowa swoboda skończyła się bezpowrotnie... O jakże był nieszczęśliwym!

— Chłopcze — rzekł dziadek, który go z oka nie spuszczał — pamiętaj o tem, że wszystko co żyje na świecie, służy ku ogólnemu pożytkowi; chciałbyś ty jeden być pasożytem korzystającym z darów boskich, a nie dawać nic nikomu w zamian? Czy nie wstyd ci tego! Spójrzj dokoła siebie, wszyscy pracują: twój ojciec od świtu do nocy w polu, matka



cały dzień przy igle i gospodarstwie, panna Anna z Helusią przy nauce, służba w pocie czoła zarabia na swój chleb; nawet ten pies co tam siedzi uwiązany na łańcuchu, pełni obowiązki stróża podwórzowego. Ty jeden korzystasz z pracy wszystkich, i nie starasz się o to, żeby się nauczyć być także dla drugich pożytecznym; ty jeden jesz darmo chleb... Czy ci nie wstyd?

Krwawy rumieniec oblał twarz Gucia; lzy cisnęły mu się do oczu, ale wstrzymywał je mężnie, nie chcąc poraz drugi zasłużyć na nazwę „baby“. Stał w milczeniu czekając, aż dziadek skończy, i przypatrując się machinalnie to źdźbłom trawy rosnącej drobnymi kępami przy ścieżce, to kwiatom akacyi sypiącym się za każdym poruszeniem gałęzi.

— Zaczerwieniłeś się asan, to dobrze! widzę że mój wnuk jeszcze nie stracony, bo ma wstyd. Jesteś człowiekiem, chłopcze; pamiętaj, że każdy człowiek ma obowiązki do spełnienia, i aby je spełnić dobrze, musi się starać o nabycie rozumu: Będiesz się więc asan uczył! A teraz, możesz iść się bawić.

Pan Czesław wyraził nadzieję, iż wkrótce zostanie dobrymi przyjaciółmi, i wyciągnął do Gucia rękę—ale chłopiec nie widział tego, czy też udał że nie widzi, bo po żalości, gniew go na pana Czesława ogarnął. Jak stał, tak się odwrócił i poszedł szybkim krokiem w ogród, chociaż mateczka chcąc synka uściskać i pocieszyć, wołała na niego. Miał



do niej żal głęboki, że nie stanęła po jego stronie, udał więc że nie słyszy. Szedł w stronę zupełnie przeciwną tej, w której znajdowali się jego towarzysze—i gdy drzewa zasłoniły go przed ich oczyma, gdy oddalił się od miejsca zabawy, tak że już nawet gwar ich głosów przestał go dochodzić, zatrzymał się i wybuchnął głośnym płaczem.

Była to pierwsza większa boleść w życiu Gucia: bo choć się smucił serdecznie wówczas, gdy dwóch jego braciszków w białych, kwiatami ozdobionych trumienkach, wywieziono na cmentarz—to własne jego życie dotąd było nieprzerwanym szeregiem zabaw i przyjemności, i myślał że zawsze tak będzie. Tymczasem zetknął się niespodzianie z przykrą rzeczywistością. A taki był dzisiaj szczęśliwy!.. wygrał bitwę, dostał zegarek, cieszył się na zabawę u Janka, a nawet fraka się spodziewał. Wszystko pierzchnęło jak sen, i to w chwili kiedy miał takie dobre zamiary, gdy chciał poprawić się od pierwszego, następnego miesiąca. Dla czego nie pozwolono mu ich spełnić? Obrzydzono mu naukę a z nią i życie. Wszyscy się na niego uwzięli, żeby mu dokuczyć.

Ojca, siostrę i pannę Annę oskarżał o brak serca; dziadka o tyranie; matkę... O matce nie mógł nawet myśleć spokojnie; on ją tak kochał!..

Po napadzie żalu, przyszedł napad złości. Wszystkie dobre uczucia opuściły Gucia, a wszyst-



kie złe zaczęły wychodzić z kryjówek jego serca, w których były dotąd pochowane — schowane zaś najgłębiej samolubstwo, wyszło na jaw w całej okazałości. Zapomniał o dobroci dziadka, o miłości rodziców, o zmartwieniach jakich im ciągle przyczytniał — a tylko pamiętał o tem, że jemu sprawiono przykrość, że jego pokrzywdzono. Nawet rozsądek towarzyszący mu podczas przemowy dziadka, któremu mimo wszystko, w duchu nie mógł zaprzeczyć słuszności, odstąpił go teraz, bo nazwał naukę „głupstwem umyślnie dla dręczenia ludzi wymyślonem“. Wolałby już pasać źrebięta na łące z chłopakami, niż się uczyć!

I mały złośnik, biegający podczas całej tej z sobą rozmowy wzdłuż i wszerz trawnika, i rzucający się jak ten ptak co chce rozerwać więzy pętające mu skrzydła, zaczął deptać jakieś niewinne żółte kwiateczki, wychylające się z trawy nieśmiało, z taką zawziętością, jakby to były książki, których nigdy naprawdę nie lubił, a które teraz zaczynał nienawidzić.

Po tym nieużytecznym wybuchu, rzucił się na murawę, zmęczony płaczem i wrażeniami. Trawa w tem miejscu rosła bujniej niż gdzieindziej, do czego jej niezawodnie blizkie sąsiedztwo wody pomagało; puszysta była i miękka, niby zielony kobierzec. Gucio wyciągnął się i podłożywszy rękę pod głowę, patrzył przez łzy na ostatnie blaski za-



chodzącego słońca, na opary wychodzące z wody i rozpościerające się nad nią powoli, niby przejrzysta gaza. Monotonne brzęczenie muszek i koników wodnych, działało na niego usypiająco. Przymknął oczy, chcąc choć na chwilę zapomnieć o swoim nieszczęściu, ale przeszkadzała mu latająca uparcie koło głowy mucha. Odpędził ją, a patrząc jak swobodnie wzbija się w powietrze, zawołał z żalem:

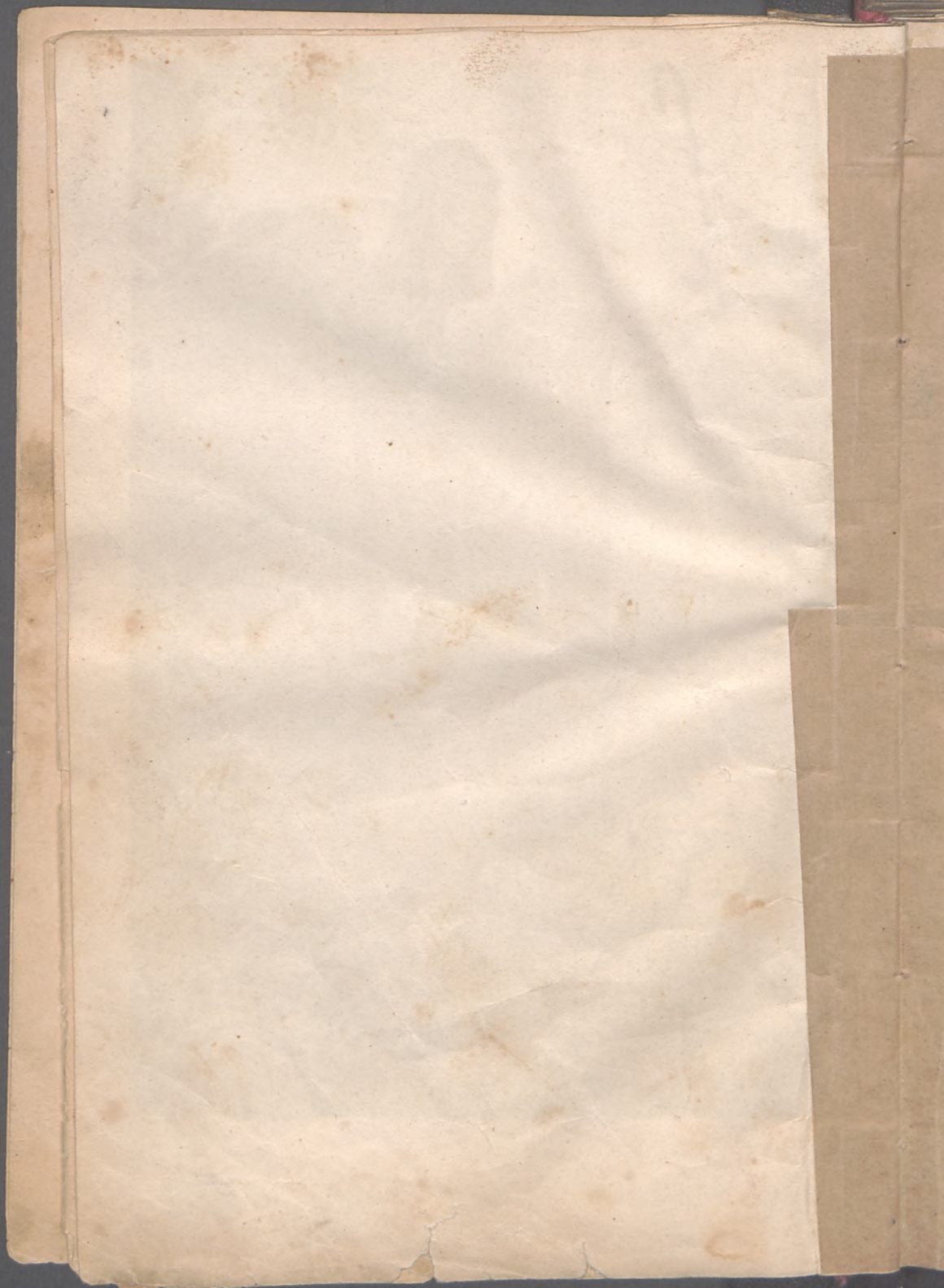
— To drobne, nieme stworzenie nawet, szczęśliwsze jest odemnie, bo nikt mu nie krępuje swobody, ani nie daje guwernerów. Wolałbym być muchą, niż wieść takie nędzne życie! Co za szkoda, że czary o jakich czytałem w „Bajarzu polskim“, nie istnieją! Niema na świecie wróżek, ani ludzi przemienionych w zwierzęta, ani „czapek niewidek“, ani „butów siedmiomilowych“. Nie!





w Lit. W. Głowackiego

Długa jej szata czarna była jak noc.





## IV.

### Gucio w jaskini smoka.

---

Zaledwie wymówił te słowa, z oparów unoszących się nad stawem, wynurzyła się jakaś postać niewieścia i zbliżyła powoli ku niemu. Długa jej szata, czarna jak noc, mieniła się iskrami, a z pod chustki pokrywającej głowę, wymykały się siwe kosmyki włosów. Gdy się więcej zbliżyła, Guccio zobaczył że twarz miała mocno pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy, patrzące przez wierzch tych okularów, miały blask nadzwyczajny, a takie były przenikliwe, że widząc je skierowane na siebie, czuł ciarki przechodzące mu po ciele. Postać ta stanawszy przed nim, wyrzekła uroczystym głosem:

— Młodzieńcze! wypowiedziałeś życzenie swoje w godzinie, w której ja i moje siostry wróżki chodzimy po świecie. Jestto godzina czarów... Życzenie twoje spełni się, zamieniam cię w muchę. Pozostaniesz nią dopóty, dopóki nie pokochasz pracy i nie staniesz się godzien być człowiekiem.

To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką jego czoła i zniknęła. Jak? było to rzeczą niepojętą, bo ziemia się bynajmniej pod nią nie rozstała; w powietrzu tylko słychać było jakieś dziwne szmerzy i świsty.

Gucio patrzył i słuchał przerażony, i nagle spostrzegł że się z nim stało coś niezwykłego. Poczł się dziwnie lekkim, tak lekkim, że wietrzyk podnoszący się od strony stawu, mógł go być unieść. Spojrzał po sobie: jego piękne niebieskie ubranie gdzieś znikło; zastąpiło je jakieś ciało szare, czarno pręgowane i nakrapiane w czarne centki; nos się przedłużył i przybrał formę misternej trąbki, węższej u góry a szerszej u dołu. Z grzbietu, którego ciemna barwa wpadała w odcień błękitnawy, wyrastały skrzydełka przezroczyste, pokryte tu i owdzie drobnymi włoskami — a z piersi aż sześć nóg wyskoczyło. Słowem, wyglądał zupełnie jak mucha. Chciał dotknąć ręką czoła, żeby przekonać się czy to nie sen, ale natychmiast cofnął ją ze wstrętem: nie miał już rąk, tylko łapki kosmate, cienkie jak niteczki!.. Ach, gdyby na tem był ko-



lic!.. Ale on nawet oddychał inaczej: powietrze do płac jego nie dostawało się jak zwykle, ustami, ale przez małe otworki znajdujące się tu i ówdzie między członkami ciała.

Naprawdę więc przestał być człowiekiem, a był tylko małym, drobnym owadkiem, którego nawet nikt nie dojrzy między listkami trawy?

Rozpacz go ogarnęła: zaczął wołać wróżki i zaklinać ją świętymi słowami, żeby odwołała swoje czary; ale usiłowanie to stało się dla niego tylko nowym powodem przerażenia. Głosu ludzkiego nie było słyhać w powietrzu, gdy wołał, a z piersi jego wychodziło tylko słabe brzęczenie!..

— Straciłem więc wszystko, wszystko!—mówił do siebie łkając — ojca, matkę, siostrę, dom! bo choćbym do nich wrócił, nie poznają mnie nawet, i gotowi zabić... Ach, czemuż wróżka odbierając mi postać ludzką, nie odebrała mi zarazem pamięci! ale pokutować w ciele muchy, być czemś tak małym, tak nieskończenie małym, a przytem czuć i myśleć jak człowiek—co za męczarnia!... Ale co to jest? las jakiś? Gdzie ja jestem? Czy mnie wróżka przeniosła w kraj nieznany, czy co?

Zaczął się dokoła siebie rozglądać, a im więcej się patrzył, tem większe ogarniało go zdumienie. Drzewa otaczające go dziwne miały kształty, niepodobne w niczem do tych jakie dotąd widywał—nie miały bowiem wcale koron z gałęzi. Z korzeni

o... wyrastały po dwa, trzy, cztery pnie, i strzelały ku górze, równo, prosto, na podobieństwo obrzymich cienkich igia, lub wązkich sztywnych wstążek, a wszystkich wierzchołki były lekko pochylone. Za najlżejszem poruszeniem wiatru, cały las chwiał się i uginał tak bardzo, że aż prawie kładł się na ziemi.

Zdumienie Gucia było tak wielkie, że aż zagłuszyło na chwilę jego boleść; patrzył i usiłował zgadnąć gdzie się znajduje: czy w dziewiczych lasach południowej Ameryki, o których czytał z panną Anną w ślicznych powieściach, opisujących przygody podróżników i myśliwych — czy może na jakiej wyspie Oceanu Spokojnego nieznannej jeszcze podróżnikom, bo o takich drzewach jakie tu widział, nie czytał jeszcze w żadnej książce.

Co zaś było najdziwniejsze, to że w szczególnym tym lesie nie widział wcale trawy ani mchu, a grunt pokieroszowany cały rozpadlinami, pełen był niebezpiecznych przepaści i jam, w które bardzo łatwo wpaść było można. Utrudniały też przejście walające się wszędzie bryły kamieni, i małe przezroczyste jak szkło, błyszczące kamyki, oraz całe pnie drzew leżące w poprzek jedne na drugich, nawpół już uschłe.

Ciekawość popychała Gucia wgląd tego lasu, ale nie wiedział jak iść. Dotąd chodził zawsze na dwóch nogach, a teraz miał ich aż sześć... Dwie



mogły mu wprawdzie zastąpić ręce, ale co zrobić z dwiema zbyt ciężkimi? Probował chodzić jak człowiek, ale przewracał się ciągle; podniósł więc jedną z gałęzi i zaczął się nią podpierać— lecz czuł, że to nie mogło trwać długo, bo go za bardzo męczyło. Gdy się jest muchą, trzeba chodzić jak mucha. Powoli i z trudnością stapał po tym gruncie niebezpiecznym, a cienkie jego nogi zaczepiały się ustawicznie o siatkę korzeni, którymi grunt był pokryty. Idąc, oglądał się i nasłuchiwał, czy nie usłyszy gdzie ryku lwa lub niedźwiedzia, albo nie ujrzy wyglądających z gęstwiny błyszczących oczu hyeny. A może dżicy ludzie zamieszkują ten kraj i polują w tym lesie? Jeżeli go strzała którego dosięgnie, zginie marnie zdala od swoich, nie uściskawszy nawet matki...

Biedny Guccio! zapomniał, że dżicy nie dojrzełiby nawet takiej małej muszki.

Zapuszczając się w las coraz dalej, widział przesuwające się z cichym, ledwie dosłyszalnym szmerem, różne zwierzęta nie podobne w niczem do zwierząt drapieżnych, jakie widywał na obrazkach. Zwierząt tych było mnóstwo, dużych i małych, dążących w różne strony: jedne szły prędko, inne wolno, za ledwie się posuwając; inne jeszcze podskakiwały, do czego pomagały im skrzydła, albo wysokie, zgięte mocno w kolanach nogi; inne nakoniec wchodziły w rozpadliny i znikwały w nich

bez śladu. Najwięcej uwagę jego zwracały te, które swoją twardą, błyszczącą, do skorupy żółwia podobną powłoką, sunęły po ziemi niby małe ruchome domki.

Chwilami zdawało się Guciovi, że grunt po którym stapał, ruszał się i unosił, i strach go brał niewypowiedziany, bo nie wiedział jak to sobie tłumaczyć. Może to były oznaki trzęsienia ziemi, mającej lada chwila otworzyć się, zdruzgotać las i jego w gruzach zagrzebać... Sama ta myśl mroziła mu krew w żyłach — ale wkrótce spostrzegł, że to co brał za oznaki zbliżającego się trzęsienia ziemi, miało zupełnie inną przyczynę. Ziemia otwierała się wprawdzie dokoła niego w różnych miejscach, gdzie wprzód dawało się czuć drżenie; ale zamiast wulkanicznego ognia, wychodziły z otworów jakieś węże czy żmije, barwy cielistej, i pełzając znikwały w głębi lasu. Przełęknięty, drżący, uciekał, a największem w tej chwili jego pragnieniem, było pragnienie ukrycia się w jakim bezpiecznym schronieniu.

Nareszcie drzewa zaczęły się trochę przerzedzać i Gucio miał nadzieję, że już niezadługo wyjdzie na otwarte pole. Ale się zawiódł: las rozstał się tylko, jakby dla zrobienia miejsca górze, której łagodne stoki niczem nie były porośłe. Wyglądała ona tak, jakby ją ręka olbrzyma świeżo usypała, lub jakby całą jej powierzchnię przekopał



świeżo rydel ogrodnika. Guccio jednakże nie zwrócił nawet na to uwagi: powodowany instynktem zachowawczym, spostrzegł obszerny otwór znajdujący się u stóp góry, i bez tchu prawie dopadł do niego, rad że znalazł nareszcie dla siebie kryjówkę.

Gdy jednak po chwilowym wypoczynku, przemiął przestkach wywołany widokiem nieznanych zwierząt, bezpieczeństwo schronienia jakie sobie wynalazł, wydało mu się cokolwiek wątpliwem.

— Kto wie czy nie trafiłem do jaskini rozbójników— rzekł do siebie—ale do lasu nie wrócę za nic w świecie! Wolę być zabitym przez zbójców, niż żywcem zjedzony przez dzikie zwierzęta. Zresztą, po co mieliby mnie zabijać, jeżeli nie mam przy sobie pieniędzy?

Ciekawość zwiedzenia jaskini, przemogła wszystkie jego obawy. Trzymając się ściany, zaczął posuwać się w głąb ostrożnie. Ciemność prawie zupełna tam panowała: światło przez otwór wpadało tak słabe, że całe wnętrze pogrążone było w zmroku, i długa chwila minęła, zanim oswoił się z niem i zaczął rozróżniać otaczające go przedmioty. Z jaskini wiódł w głąb szeroki, wygodny korytarz, którego ściany zbudowane z mocno ubitej ziemi, podobne były do nierównego, chropowatego muru. Powodowany wzmagającą się ciekawością, i ośmielony ciszą panującą w podziemiu, zapuszczał się coraz dalej.



Po kilku minutach takiej drogi, korytarz nagle się rozszerzył i Guccio posłyszał szmer dziwnego rodzaju, jakby kto drapał ziemię pazurami i odrzucał ją na stronę z nadzwyczajną regularnością. Mały nasz podróżny przystanął, i zaczął przysłuchiwać się temu szmerowi, wstrzymując oddech.

Wtem ze sklepienia spadł kamyk, a łoskot jego upadkiem sprawiony, rozległ się głośnem echem w podziemiu; wraz z kamykiem odpadło także trochę ziemi, w skutek czego zrobiła się w górze szczelina, a przez szczelinę przedarł się promyk światła dziennego. Guccio zobaczył teraz dużą pieczarę, a w niej potwora którego sam widok przeraził go. Olbrzymie jego ciało pokryte było ciemno-brunatnem aksamitnem futrem; ogon miał krótki, pysk zakończony długim ryjem. Oczów wcale nie było widać: potwór macał dokoła siebie ziemię ryjem, jak ślepy.

Guciovi przypomniła się legenda o smoku niegdys żyjącym w jaskini pod górą Wawel, w Krakowie; i zapomniawszy że jest tylko muchą, począł żałować, że nie wziął z sobą barana wypchanego słomą i siarką, żeby, jak drugi Krakus, potwora zgładzić ze świata. Bohaterskie te myśli nie dodały mu jednak wcale odwagi.

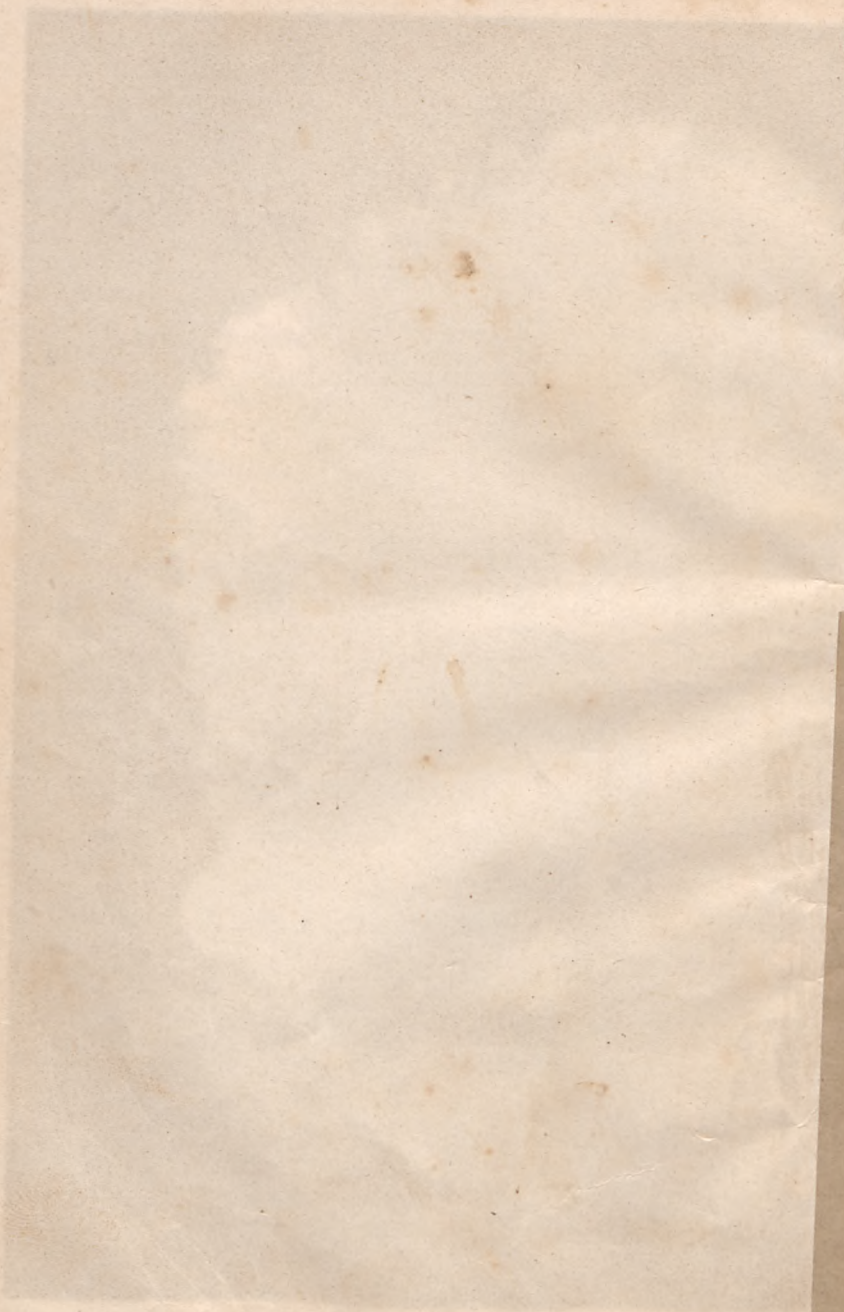
Potwór kopał ciągle pazurami ziemię, jakby w niej czegoś szukając, i odrzucał ją łapami na boki i po za siebie. Zdawało się jednak, że poczuł





w Lit. W. Głowczewskiego

Podniósł łeb i zaczął węszyć powietrze





iż nie jest sam, bo przerwał robotę, podniósł łeb i zaczął węszyć powietrze.

— Spozrzegł mnie, zginałem! — szepnął do siebie Guccio ledwie żywy—on mnie połknie!

Potwór musiał mieć bystry słuch, bo obróciwszy się ku niemu, gniewnie zamruczał:

— Kto tu jest i czego chce?

— To ja—wyjąknął Guccio —przepraszam pana bardzo, panie smoku. Wszedłem tu zupełnie przypadkiem... nie miałem zamiaru panu przeszkadzać. Bardzo przepraszam... ja ztąd zaraz odejdę. Niech mnie pan nie połyka! jestem mały i chudy... Mama powiada, że wyglądam jak chrabąszcz!

— A, a! człowiek pokutujący! — mruknął potwór do siebie. — Możesz być spokojny: nieby mi nie przyszło z twojej śmierci. Ja bardzo lubię chrabąszcze, ale ty wcale nie jesteś podobny do tego smacznego stworzenia: tyś taki mały, że choćbym cię zjadł, tobym nawet nie poczuł jak smakujesz. Wreszcie dowiedz się, że cię niewolno nikomu zabijać. Masz na sobie znak czarów, odróżniający cię od much zwyczajnych: czerwoną czapeczkę na głowie. Kto nosi takie znaki, temu ani broń, ani paszport w podróży nie potrzebne. Nikomu nie wolno jest wyrządzić krzywdy zaczarowanemu; przeciwnie, dawać pomoc, jeżeli jej zapotrzebuje, i udzielać objaśnień. Nie zgub tylko swojej czapeczki, bo wtedy

byłaby ci wielka bieda, co chwila bowiem mógłbyś być narażony na niebezpieczeństwo utraty życia.

Gucio sięgnął łapką do głowy, i przekonał się że ma istotnie czerwoną czapczkę, dającą się zdejmować, choć mocno do głowy przyczepioną; ciekawy był tylko, jak niewidomy smok mógł to widzieć. Nie był on jednak niewidomym. Guccio zobaczył to teraz, gdy potwór obrócił się ku niemu. Dwoje oczu małych jak ziarnka prosa, błyszczało z pośród sierści w której były ukryte.

Świadomość, że znaki czarów bronią go od wszelkiego niebezpieczeństwa, w jednej chwili wlała w Guccia ogromne męstwo. Z odwagą jakiejby się sam Krakus nie powstydział, zbliżył się do potwora i zapytał, czy on czasem nie jest potomkiem tego samego smoka, co mieszkał pod Wawelem i miał siedem głów.

Potwór roześmiał się na całe gardło, takim grubym głosem, że naszemu bohaterowi pomimo męznego usposobienia i czapki bezpieczeństwa, zrobiło się niemiło koło serca.

— Nie, mój chłopcze—odmrucał—nie pochodzę z tak wysokiego rodu. Nie jestem wcale smokiem za jakiego mnie bierzesz, ale skromnym pospolitym kretem, pomocnikiem rolnika. Jesteś zdumiony tem odkryciem, i dziwisz się, że są krety takie ogromne; ale przypomnij sobie że jesteś muchą, małym, drobnym owadkiem, i że przy two-



im wzroście, wszyscy więksi od ciebie wydają się olbrzymami. Założyłbym się, że trawę wziąłeś przez pomyłkę za las, a moje kretowisko za ogromną górę. Tak, mój chłopcze, jestem tylko kretem, skromnym robotnikiem podziemnym, nie większym od szczura.

Słowa te rozświeciły Guciowi w głowie. Zrozumiał teraz swoją omyłkę, która go takiego strachu nabawiła, i niedawnego zwycięzcę ozdobionego wieńcem dębowym za waleczność, zagnała do dziury jak zająca. Wstydział się kreta i gniewał na siebie za tchórzostwo i brak przytomności umysłu. To też chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zapytał:

— Powiadasz pan, że jesteś pomocnikiem rolnika; jakimże to dzieje się sposobem?

— Wykopuję z ziemi robaki podgryzające korzenie drzew i roślin. Ludzie narzekają wprawdzie czasem, że im szpecę ogrody memi robotami, ale sami przyznają, że usługi jakie im oddaję, są stokroć większe niż mniemane szkody.

— Czy się panu ta robota nie przykrzy? Jeżeli cię nikt nie pilnuje, to mógłbyś sobie często odpoczywać.

Kret popatrzył na niego surowo.

— Nikt nie pilnuje—odpowiedział—ale widzi mnie Bóg, którego oko przenika wszystkie skrytości. On nie przeciąża robotą żadnego stworzenia,

ale przymierza ją do sił i zdolności każdego. Ja też pracuję ile zdołam, a mądrość Stwórcy dała mi jeszcze jako silniejszy do tego bodziec, ogromny apetyt. Zjadam tyle codziennie upolowanej zwierzyny, ile sam ważę. Wreszcie jakież prawo miałbym korzystać z pożywienia, napoju, powietrza, mieszkania, gdybym też choć w części nie przykładał się do ogólnego pożytku? Kto nie nie robi, nie wart żyć.

Po raz to drugi już Guccio się zawstydził i zmieształ. Kret niechcący powiedział mu gorzką prawdę, a co więcej, okazał się wyższym od niego, człowieka. Ale że Guccio nie lubił prawdy, zwłaszcza jeżeli miała jakiś związek z pracą, więc znowu usiłował zwrócić rozmowę na coś innego, zapytując kreta czy ma żonę i dzieci.

— Ożeniłem się w tym roku— odrzekł—i mam aż ośmioro drobiazgu. Jeżeli chcesz, zapoznam cię z moją rodziną. Wiesz co! nie znasz tych podziemni, więc bładziłbyś tylko po omacku. Siadaj na mnie, będziemy prędzej na miejscu.

Guccio odrzucił kij, który mu tylko przeszkadzał, i bez namysłu wskoczywszy na grzbiet zwierzęcia, powiedział sobie, że siedzenie jest raiękkie i wygodne; żeby nie zlecieć, trzymał się mocno włosa. Niezwykła ta jazda bawiła go jak każda nowość.





— Ale gdzie tam—mruknął mąż, który jako troskliwy o wygodę domowników gospodarz, rad się był przed człowiekiem swemi urządzeniami pochwalić. — To dopiero sypialnia; tu obok jest salon wsparty na pochyłonych nieco do środka kolumnach, a tam dalej spiżarnia pełna zapasów upolowanej zwierzyny. Znajdziesz w niej glisty, ślimaki, stonogi, a nawet i grubsze sztuki: kilka małych tłustych myszek i jaszczurkę. Z tych pokoi trzy chodniki wiodą do wyjścia na zewnątrz, abyśmy w razie napadu nieprzyjaciela, mogli sobie zapewnić odwrót, a te jeszcze są połączone z pięcioma innymi.

Gucio podziwiał sztuczną budowę podziemnych sal, korytarzy, chodników i zaułków, i dziwił się zmyślności kreta, umiejącego tak wszystko rozumnie obmyśleć i urządzić.

— Chodnik który widzisz na prawo, jest bardzo wygodny—mówił kret— i prowadzi pod drzewo widać, że nie niedaleko stawu. Jeżeli chcesz zobaczyć jak się prowadzi pod ziemią, to radzę ci wyjechać. Ja już dalej nie mogę ci pokazać. Odrzucił kij, który trzymał w ręku i przy wyjściu nie mógł powstrzymać się od uśmiechu wskoczywszy na kreciego rodu: pies, który siedział sobie, że siedzenie było wygodne, żeby nie zlecieć, trzymał w pysku kijek, który ta jazda bawiła go bardzo.

*patce*



## V.

### Gucio zabiera znajomość z wróblami

---

Gucio podziękował kretowi za objaśnienia, i udawszy się we wskazanym kierunku, wy dostał się wkrótce na świat. Znalazł się w tym samym lesie, z którego przed godziną uciekał; ale teraz wiedział już, że to jest tylko wysoka, bujna trawa—że dzikie zwierzęta których się obawiał, to są robaczki i owady, a owe bryły kamieni, to tylko drobne kryształki piasku. Po godzinnem przeszło przebywaniu pod ziemią, czuł się teraz odurzony świeżem powietrzem i olśniony światłem dziennem, oślepiającym go prawie. Chwilę stał jak nieprzytomny, nareszcie przypomniał sobie że ma skrzydła; poruszył niemi i uniosłszy się w górę, zatoczył kilka niezgrabnych

kręgow i opadł na gałąź wspaniałego rozłożystego drzewa.

Pierwsza ta próba latania, zmęczyła go; odpoczywając patrzył z góry na ów las mniemany i myślał, że dawniej gdy był jeszcze człowiekiem, nigdy nie przyszło mu do głowy przypatrywać się źdźbłom trawy, ani zatroszczyć się o los tych drobnych istot, których milionami ziemia jest przepełniona. A jednak one żyją, a więc muszą mieć także swoje potrzeby, swoje cele, swoje radości i cierpienia!.. Czy zastanowił się kiedy nad tem? Gdzie tam! Teraz dopiero, gdy widział życie kreta, przekonał się że i od zwierząt nauczyć się czegoś można, i że nieślusnie jest pogardzać mniejszymi od siebie. Wszakże on sam, od kilku godzin był tylko muchą!...

Rozmyślając nad swoim położeniem, powiedział sobie, że rozpaczać nie przyda się na nic. Najgorętsze lzy nie przywrócą mu dawnej postaci; sama tylko wola wróżki może to sprawić, a ona powiedziała mu, że będzie muchą „dopóki nie pokaże pracy i przez to stanie się godzien być człowiekiem“. Jak do tego przyjdzie, nie pojmował zgoła, ale miał nadzieję, że jego niedola musi się kiedyś skończyć. Tymczasem ciekawość brała górę nad jego zmartwieniem: otwierał się przed nim świat niedostępny gołemu oku człowieka, świat tajemniczy, pełen tem większego uroku, że niezna-



ny mu jeszcze. Już samo drzewo na którem odpoczywał, było krajem cudów, zdolnym co chwila wywoływać okrzyki podziwu i zachwytu. Rosły na niem przepyszne mchy, miększe i puszystsze niż aksamit: rosły grzyby najrozmaitszych barw, i dziwaczne porosty przechodzące kształtami najśmielsze utwory wyobraźni, a wszystko zamieszkałe przez istoty będące w ustawicznym ruchu. Śnać, drobne to społeczeństwo mnogie miało sprawy i interesu.

Tak przypatrując się, dziwiąc i zatrzymując co chwila, Gucio przechodził z gałęzi na gałąź, dążąc coraz wyżej, i coraz nowe czyniąc odkrycia; idąc, żałował że przyjaciel jego Janek, ani siostrzyczka Helusia, nie mogli tego widzieć. Kiedyś, gdy pokuta jego się skończy, a wróżka przywróci mu ludzką postać, opowie im wszystko z najdrobniejszych szczegółami, ale czy będą chcieli mu wierzyć? Dziwiło to Gucia bardzo, że wszystko teraz widział lepiej i dokładniej niż wtedy, gdy był człowiekiem, jakby mu kto włożył okulary ze szkłem bardzo powiększającym. Nie okulary to jednak nosił Gucio, ale oczy miał inne, oczy muchy składające się z ogromnej liczby małych sześciennych oczek, i one to widziały wszystko z taką nadzwyczajną dokładnością. Nie wiedział on o tem, jak równie i o innych właściwościach wielu owadów, do których teraz i sam należał. Wciąż się więc dziwił samemu so-

bie. I to go także zdumiewało, że chociaż szedł od spodu gałęzi, więc do góry nogami, to jednak nie spadał. Jego cienkie, delikatne stopy, opatrzone były na końcach pazurkami czepiającymi się chropowatości kory, a znajdujące się między temi pazurkami, maleńkie wilgotne poduszeczki, przylegały do każdej powierzchni równie silnie jak pazurki. Gucio nie miał nóg tak urządzonych, gdy był w postaci człowieka; ale wiedział dobrze, że nie mógł wówczas chodzić po ścianie i po suficie, choć nigdy się nie zastanawiał, czemu nie może dokazać tego, co umie każdy prawie robaczek. Dopiero teraz chciał nad tem pomyśleć, tylko że w tej chwili nie miał czasu. Gdy mu wróżka postać ludzką przywróci, zapyta się o to mędrszych od siebie, i będzie się pilnie dowiadywał o wszystkie szczegóły dotyczące jego ciała, równie jak ciała i życia wszelkich stworzeń żyjących.

Obecnie cienki, piskliwy świergot ptaszków odzywający się z wierzchołka drzewa, zwrócił jego uwagę. Podążył w kierunku słyszanych głosów i wkrótce znalazł się przed ślicznem okrągłym gniazdeczkiem, zawieszonem między dwiema blisko siebie rosnącymi gałęziami. Siedmioro małych szarych łebków, odznaczających się wielką ruchliwością, wyglądało z gniazdka, jakby oczekując czegoś niecierpliwie, a tuż obok na gałęzce, matka tego drobiazgu zajęta była wygarnianiem z pod kory robaczek, bacząc



z największych przestępstw i źródłem wszystkiego złego. Ale gdzie mieszkają twoi rodzice?

— Mój ojciec jest właścicielem tej wioski.

— Znam go, znam, bo go codzień widuję. Pracowity człowiek! od rana do wieczora w polu. Dziwna rzecz, że syn jego jest próżniakiem!

Słowa te bardzo obraziły Gucia i rozdrażniły. Wszyscy dziś prawili mu niegrzeczności.

— Mój panie — rzekł podnosząc z godnością głowę, mało co większą od dużego łebka szpilki — proszę mi nie ubliżać. Wyrzucasz mi pan moje lenistwo, choć sam nic nie robisz. Ptaszki przychodzą na świat już ubrane, a zboże zbierają nie orząc ani siejąc, zabierając poprostu cudzą własność. Całem waszem zajęciem jest, latać w powietrzu i śpiewać.

— Mylisz się chłopczyku, jeżeli naprawdę mniemasz, że ja i moi krewni wiemy żywot bez pracy — odparł wróbel poważnie. — Nie siejemy wprawdzie ani orzemy, ale tępimy szkodliwe rolnictwu owady i gąsiennice. Bez naszej pomocy, rolnicy nie zebraliby nawet połowy plonu, a lasy zmarniałyby, ogołoczone z liści. Widzę po tobie, że mi nie wierzysz: zaczekaj chwilkę, zaraz cię dowodniej przekonam.

To powiedziawszy, ptaszek zerwał dziobkiem liść jeden cały podziurawiony, i położył przed Guciem.

— Patrzaj, co za straszne spustoszenie zrobiła tu gąsiennica—powiedział—wygryzła wszystką zielen z środka, pozostawiwszy tylko nerwy. To już nie liść, to szkielet!

Gucio milczał zdziwiony, spoglądając kolejno to na wróbla, to na liść, na którym wiła się gąsiennica, ściągając i rozciągając czarne pierścienie swego ciała, upstrzone tu i owdzie białymi centkami i kępami ciemno-żółtych włosów.

— Ta niszczytelka nazywa się pierściennica—rzekł wróbel—czy widziałeś ją kiedy?

— Widziałem — odrzekł Guccio—ale nie przypuszczałem żeby pożerała liście.

— Liście są dla drzew tem samem, czem dla ludzi i zwierząt płuca — świergotał ptaszek dalej, podczas gdy pani wróblowa schwyciwszy gąsiennicę i rozerwawszy na sztuki, dawała je dzieciom do zjedzenia. — Drzewo niemi oddycha i czerpie z powietrza wilgoć, zasilającą cały jego organizm; gdy zatem płuca tych mu braknie, musi umierać na suchoty. Wypędź nas z tej poczciwej gruszki, rozdającej wyborne soczyste owoce, a zobaczysz, że w przyszłym roku ojciec twój każe ją ścinać na opał. Nie dość na tem: jajka pierściennic i poczwarki, rozmnożą się na niej tak niezmiernie, że zniszczą cały ogród.



Gucio słuchał, nie spuszczał oczu z wróbelka; ten niepozorny szaraczek odkrywał mu dziwne rzeczy.

— Gdybyś chłopczyku przyjrzał się kiedy na wiosnę, jak całemi legijonami uderzamy na hordy niszczycieli pożerających chciwie młodziutkie pędy zbóż, zrozumiałbyś że jesteśmy użytecznymi robotnikami, ratującymi od głodu człowieka, który częstokroć odpłaca się nam niewdzięcznością, żałując odrobiny ziarna. Strzela on do nas, chwyta w sidła i niszczy nasze gniazda!

W historyi ptasiego rodu, znajduje się niejedna krwawa karta. Sto lat przeszło temu, Fryderyk Wielki, król pruski, o którym musiałeś słyszeć, sławny z zaborów i skapstwa, osądziwszy że zawiele zjadamy mu zboża, nie tylko wydał wyrok zabraniający wróblom przebywania w granicach jego państwa, ale nawet nałożył cenę na nasze głowy, jak gdybyśmy byli przestępcami politycznymi. Wymordowano nas wtedy setki tysięcy; ale zaraz w następnym roku robactwo tak bardzo zniszczyło plony rolników, że Wielki ów Fryderyk odwołał wyrok i dawał nagrody pieniężne mieszkańcom swego państwa, za każdego sprowadzonego doń żywego wróbla. Garstka wychodźców wróciła wtedy z tryumfem. We Francyi, w Węgrzech i we Włoszech, cierpieliśmy także czas jakiś podobne jak w Prusach prześladowanie. Wypędzano nas, a potem znów



gwałtem sprowadzano, zachęcano wszelkimi sposobami do osiedlania się, a nawet urządzano nam na drzewach gotowe już mieszkania...

— Co za dziwne koleje losu — odezwał się Gucio, słuchający z wielkiem zajęciem tego opowiadania; — nigdybym nie pomyślał, że wróbel jest przyjacielem i dobroczyńcą człowieka!

— Człowiek ma dużo przyjaciół — świergotał wróbel dalej — ale sam jest największym dla siebie nieprzyjacielem. Dopóki nie mieliśmy dzieci, odbyliśmy oboje z żoną kilka podróży po kraju, i to cośmy widzieli, napełniało nas smutkiem i trwogą o jego przyszłość. Dawniej rozpościerały się tu obszerne lasy, których gęste podszycie dawało ochronę tysiącom ptaków; teraz gdzie spojrzeć, drzewa wycięte w pień, kraj coraz bardziej pustoszeje, a nasze legijony pozbawione przytułku, przeredzają się straszliwie. Wkrótce zabraknie człowiekowi sprzymierzeńców, walczących wiernie w obronie jego pól. Coraz częściej rozchodzą się wieści o nieznanym dotąd w Polsce gatunkach chrząszczyków i much, niszczących pola i lasy. Obym się omylił, ale to są zwiastuny klęsk, na które niedługo będziemy czekać!...

Tu wróbel westchnął głęboko i mówił dalej.

— Najcięższą porą roku jest dla nas zima: ginimy z głodu tysiącami. Gdyby człowiek chciał nam rzucać okruchy chleba ze swego stołu, te okru-



chy, które wyrzuca codzien w śmiecie, uratowałyby tysiące głodnych, bez żadnego uszczerbku dla siebie.

— Czy to państwo nie wyjeżdżacie w jesieni za granicę?—zapytał Guccio.

— Cała arystokracja wyjeżdża—odpowiedział ptaszek—kukulki, słowiki, jaskółki, bociany, żorawie; my szaraczki, pilnujemy domowej zagrody. Ale ty musisz być strudzony, chłopczyku, bo widzę że się ledwie trzymasz na nogach. Wejdz proszę do mojej chatki i odpocznij tak długo, jak tylko będzie ci się podobało. A może jesteś głodny? Mógłbym cię poczęstować jakim tłustym robaczkiem.

— Nie mów mi pan nawet o tem—odrzekł Guccio ze wstrętem.—Wolałbym umrzeć z głodu, niż dotknąć się czegoś podobnego.

— To może pozwolisz jajko pierściennicy? jest smaczne, bardzo strawne i nie obciąża żołądka. Moja kuzynka, sikorka, przepada za tym przysmakiem. Zjada ona codziennie po kilka tysięcy tych jajeczek.

— Winszuję jej apetytu — pomyślał Guccio, wstrząsając się na tę propozycję i odrzekł: — Bardzo dziękuję, nie będę nic jadł. Pozwólcie mi tylko państwo trochę u siebie odpocząć.

— Z całego serca!

Wszedłszy do gniazdka, Guccio z podziwieniem przypatrywał się jego misternej budowie i różno-

rodności materyału, z jakiego zostało sporządzone. Bo też i czego tam nie było! Źdźbła słomy i siana, delikatniejsze włókna korzeni, skrawki od sukien, kawałki waty, nitki, bawełna, sierść, szczecina, mech, a wszystko razem ułożone w całość z pewnym planem, ładem i troskliwie wewnątrz wysłane puchem, który może ptaszyna wydzierała sobie z piersi, żeby dzieciom urządzić miękkie i ciepłe posłanie. Rozważając, ile ta budowa kosztowała pracy, jak każdy z osobna kawałek materyału budowlanego, musiał być przez małego budowniczego z trudem daleko nieraz wyszukiwany i w dziobku przyniesiony—Gucio czuł się mimowolnie wzruszony i zawstydzony pracowitością swego uprzejmego gospodarza. O ileż on, człowiek, niższym był od tego ptaszka!

Ostatnie blaski słońca zniknęły już zupełnie; małe ptaszyny pochylały senne główki, a matka rozpostarłszy nad niemi skrzydła, tuliła je do siebie i osłaniała przed chłodem wieczornym! Guccio wspomniął sobie swoją mateczkę; wspomniął, jak co wieczór pochylała się nad jego łóżeczkiem, okrywała troskliwie, i ucałowawszy synka na dobranoc, kreśliła mu krzyżyk na czole, żeby Bóg strzegł go przez noc, a Anioł stróż przyniósł sny przyjemne i wesołe. Czuł, że go lży zaczynają dławić, że mu się serce wydziera do domu, i zapragnął zobaczyć rodziców i Helusię, chociaż zdaleka. Jeżeli okna



jeszcze otwarte, wleci do pokoju i zobaczy co się dzieje, czy już spostrzeżono jego zniknięcie. Pewnie go szukają na wszystkie strony, nie domyślając się nawet rzeczywistego nieszczęścia. Co to będzie, gdy go nie znajdą!

— Żegnam cię, poczciwy ptaszku — rzekł do swego gospodarza. — Naucz mnie, jak mógłbym ci się odwdzięczyć za gościnność. Dziś wprowadzie jestem tylko małym owadkiem, ale mam nadzieję, że kiedyś pokuta moja skończy się, i będę napowrót tem, czem byłem, a wtedy...

— Wtedy dokończył wróbel — gdy przyjdzie zima, a śnieg wszystko zasypie, nie dozwól umierać z głodu moim braciom, gdy ich ujrzysz skupiających się około domu i szukających ratunku u ludzi.

— Przysięgam — odpowiedział uroczyście Guccio — że ani jeden okruch chleba z naszego stołu nie pójdzie w śmiecie. Będę je sam zbierał starannie i rzucał przed oknami, a oprócz tego poproszę ojca, żeby pozwolił nadedrzwiemi domu zawiesić snopek zboża dla biednych, zgłodniałych ptaszków.

— Oby się spełniły twoje słowa! Bądź zdrow chłopczyku; życzę ci, aby twoja pokuta skończyła się jak najprędzej. Ale to późno już, możebyś lepiej u mnie przenocował.

— Nie, miły gospodarzu, nie mogę; chciałbym dziś jeszcze dostać się do domu i zobaczyć swoich, zanim pozamykają okna.

— A więc posłuchaj mojej rady: wejdź na sam wierzchołek drzewa; ztamtąd zobaczysz jak na dłoni dom i ogród. Rozpatrz się dobrze, a potem rozwiniń skrzydła i leć prosto w kierunku domu; inaczej mógłbyś zabłądzić, boś się jeszcze nie wprawiał w latanie.

---



## VI.

### Gucio nocuje w pałacu lilijowym.

---

Gucio poszedł za radą gościnnego wróbelka, ale nie przyzwyczajonemu do żeglugi powietrznej, skrzydełka prędko osłabły. Zaczął opadać coraz niżej, niżej, przyczem spuścił z oczu dom rodzicielski i zabłądził w drodze. Długo krążył na prawo i na lewo, nareszcie straciwszy nadzieję odnalezienia drogi, spoczął zmęczony na krzaku lilii białej.

Noc nadeszła, ale było jasna noc letnia. Księżyc wszedł na niebo, i niby lampa cudowna oświecał wszystkie przedmioty łagodnym, srebrzystym światłem; gwiazdy migotały drobnymi światełkami, niby miliony ocz patrzących na ziemię i mrugających bezustannie; a w trawie, niby garść rozspanych dyamentów, błyszczały robaczki świętojań-



skie. Od drzew ogrodu padały na ziemię wielkie, długie cienie, kładąc się jeden koło drugiego. Tak leżały całe szeregi. Znękany umysł Gucia, zaczął machinalnie rachować te cienie, i przyszło mu na myśl, że one wyglądają jak spisywane w wielkiej księdze Boga rachunki dni zmarnowanych przez niego w bezczynności; jak widma przychodzące dręczyć go pytaniami, co zrobił z godzinami, które mu owe dni przynosiły kolejno, a które nigdy nie powrócą... Pomyśleć że coś minęło i nie powróci już nigdy, choćbyśmy to nawet kosztem życia własnego chcieli okupić, co za rzecz straszna! Gucia dreszcz przeszedł, gdy się nad tem zastanowił.

— Jak ja tę noc przepędzę, i co ze mną będzie dalej?— mówił do siebie.—Bóg czuwa nad światem, ale czy będzie chciał opiekować się mną, który niczem nie zasłużyłem na to?

Cisza zaległa ogród, tylko żaby w stawie mówiły jeszcze wieczorne pacierze, i kwiaty szeptały ciche modlitwy. Gucio przeżegnał się i zaczął także mówić swój pacierz codzienny, a potem jeszcze pieśń „Kto się w opiekę“. Skończywszy, podniósł oczy w niebo, jakby szukając tam odpowiedzi na swe gorące prośby, i wydało mu się, że duża poczciwa twarz księżycyca dodaje mu otuchy, a gwiazdy mrugają przyjaźnie. Uczuł się troszkę pokrzepionym i zaczął myśleć o noclegu, jako tako wygodnym.





w Lit. W. Głowackiego

Wszedł do środka kwiatu.





Tuż przy nim, na wysmukłej łodydze rozkwitała przepyszna lilija biała, otoczona licznym orszakiem nocnych motyli w białych szatach; wspanialszy pałac trudno było wymarzyć. Gucio postanowił w nim noc przepędzić, i wszedł do środka kwiatu, który znalazł szeroko otwartym.

Gucio lubił kwiaty dla ich barw pięknych i zapachu, ale uważnie nigdy żadnemu się nie przypatrzył; to też oczarowany został pięknnością lilijowego pałacu, któremu srebrne światło księżycyca dodawało jeszcze tajemniczego uroku. Obejrzenie go dokładne, odłożył na jutro: dziś już nie chciał myśleć o czem innem jak o spoczynku, zwłaszcza że znalazłszy na płatkach kwiatu krople wieczornej rosy, zaspokoił jedną z nich pragnienie dotkliwie mu dokuczające.

Właśnie wyciągał się na śnieżystej pościeli, i wdychając w siebie z rozkoszą balsamiczną woń kwiatu, myślał że żaden król nie ma wspanialszego od niego łoża, gdy nagle słuch jego uderzony został śpiewem tak pięknym, że mimo znużenia zerwał się z posłania i wyszedł ze swej sypialni. Stanąwszy na jednym z bardziej wywiniętych na zewnątrz płatków lilii, jak na balkonie, zaczął przysłuchiwać się temu niespodziewanemu koncertowi.

Śpiew wychodził z bliskich krzaków agrestu, nisko przy ziemi rosnących i płynął ku niebu, a tony jego rozbrzmiewały po całym ogrodzie i szły po



rosie daleko. Guccio poznał po głosie śpiewaka: był to natchniony artysta, uznany od wieków przez świat cały—słowik. Guccio słyszał słowika nieraz, ale nigdy jeszcze śpiew jego nie zrobił na nim takiego jak dziś wrażenia. Nieszczęście, osamotnienie, tęsknota do swoich, zrobiły go czulszym na wszystko i wydobywały z głowy myśli, a z serca uczucia, jakie może nie prędko byłyby się tam odezwały w zwykłych okolicznościach. Te tony anielskiej czystości, słodkie, tęskne i rzewne, przenikały go do głębi duszy, i dziwił się, że taki mały ptaszek ma taki głos potężny i tyle przyjemności słuchaczom sprawić zdoła.

Usiłował sobie przypomnieć, ile też on kiedy zrobił komu przyjemności — ale jakoś pamięć nie miała mu nic do przypomnienia. Trzeba przyznać, że bardzo mało myślał o drugich. Wszystko ograniczało się na rozdawaniu pieniędzy, ciastek i cukierków, które nic go nie kosztowały, bo ich miał do zbytku.

Nie sam tylko Guccio słuchał natchnionego śpiewaka. W całej wiosce zapanowała cisza uroczysta: żaby przerwały swoje pacierze i wstrzymywały oddech, ćmy i motyle przestały latać, ucichły szelesty kwiatów, szum drzew; nawet drobne robaczki sunące po ziemi z cichym szmerem, zdawały się także słuchać.



Wtem pieśń urwała się tak nagle, jak gdyby jakaś struna pęknięta zepsuła cały instrument; sły-chać tylko było w zaroślach jakby trzepotanie skrzydeł, jakby szamotanie się rozpaczliwe, a potem ucichło wszystko...

Gucia zdjęła jakaś niewytłomaczona obawa o śpiewaka. Co to było? co mu takiego stać się mogło? Dla czego nie dokończył koncertu? Wstrzymwał więc oddech i czekał, czy czarujące dźwięki nie odezwą się jeszcze. Czekali i inni słuchacze: robaczki, motyle, zaby, kwiaty i drzewa, ale głucha cisza panowała w ogrodzie; więc po chwili wszystko wróciło do poprzednich zatrudnień i różne szумы, szelesty i szmery, napełniły znowu powietrze. Guccio stał jeszcze czas jakiś zamysłony na swoim balkonie, czyniąc przeróżne domysły i przypuszczenia, i z ciężkiem sercem wroczył do lilijowego pałacu.

Zmęczony przygodami i wzruszeniami, odurzony cudowną wonią kwiatu, zasnął twardo i przyśni-ło mu się wszystko co kochał i utracił: stary, poczciwy dom rodzinny, cały obrośnięty dzikiem winem, z zawieszonym nad drzwiami wchodowymi obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanym na blasze; lipy stojące przed gankiem i akacje; mateczka, ojciec, Helusia, dziadek, panna Anna, siwy konik okryty czaprakiem, ulubiony pies Burek. Widział ich wszystkich we śnie, cieszył się z niemi i mieli się już nigdy nie rozłączać.



Ale wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc i sen Gućia nie mógł trwać wiecznie. Gdy się przebudził, nie mógł od razu pojąć, ani gdzie jest, ani co się z nim stało; chwila upłynęła, zanim zdał sobie sprawę ze swego położenia. Z ciężkiem westchnieniem zabrał się do pacierza, polecając Bogu swój los i prosząc Go o skrócenie pokuty.

W powietrzu był miły, orzeźwiający chłód. Słońce tylko co wstało, i poszło zaglądać do chat wieśniaczych, jakby wołając na ludzi, że czas już iść do roboty. Skrzydlata ptaków orkiestra śpiewała hymn poranny tak wesoło i hałaśliwie, jak gdyby chóry chciały się wzajemnie przekrzyczeć i kłócić się o to, które wprzód będą usłyszane w niebie. Wnętrze lilijowego pałacu, ozłoczone promieniami słońca, jaśniało królewskim przepychem, a krople rosy tu i owdzie błyszczały na płatkach, niby diamenty na białym atłasie.

Gucio z zachwytem przypatrywał się tym ścianom atłasowym. Było ich aż sześć; rozłożone u góry niby kartki wachlarza, schodziły się z sobą u dołu w jedną całość, a wzdłuż każdej szedł wązki złoty pasek. Co go najwięcej dziwiło, to klomb dziwaczny, znajdujący się w tej wonnej komnacie: w samym środku stała wysoka, bladozielona kolumna, zakończona u góry trzema żebrami rozszerzonymi na samym wierzchu—a żebra te pokryte były drobnymi brodawkami powleczonemi lepłą cieczą.



Naokoło kolumny wznosiło się sześć niższych od niej cienkich nitek, czyli pręcików, a na każdym u samego wierzchołka wisiał długi podwójny woreczek, jakby przesyty przez środek. Woreczki miały ciemno-żółtą barwę, a przyczepione tylko środkiem do pręcików, chwiały się za każdym silniejszym wiatru powiewem.

Gucio przyglądał się temu klombikowi, tym pręcikom, a najwięcej tym żółtym woreczkom, ciekawy co też one zawierają w sobie mogą—gdy leciuchny szmer zwrócił jego uwagę. Do komnaty zajrzała ciekawie mała ciemno-brunatna muszka, i zobaczywszy Gucia zawahała się, jakby się namyślając czy wejść dalej, czy nie wejść.

— Mówił mi wczoraj kret czy wróbelek, że każde stworzenie pracuje dla ogólnego dobra—pomyślał—głupstwo! Ciekawa rzecz do jakiej też roboty może być zdalna ta oto jejmościanka. Próżnuje to pewnie cały Boży dzień i tylko patrzy gdzie jest co do zjedzenia, albo też wygrzewa się na słońcu.

Chwilę tak patrzyli na siebie, ona na niego a on na nią. On dziwił się szczególnie jej dużym, zajmującym prawie całą głowę oczom, złożonym z niezliczonej ilości małych sześciennych oczek, a najwięcej trzem małym dodatkowym oczom umieszczonym na czole i rożkom pokrytym pierzastą szczecina. Nie wiedział jeszcze biedak, że zu-



pełnie tak samo wygląda! Nareszcie jejmościanka osądziwszy snąć że nie ma potrzeby weale na niego zważać, weszła do środka, nie przeprosiwszy nawet za natręctwo. Dokoła klombu błyszczało coś, jakby wilgoć. Muszka zaczęła zwawo chodzić nokoło i wypijać tę wilgoć, swoją misterną, delikatną trąbką. Chodząc potraçała pręciki—i o dziwy! Gucio zobaczył że owe podwójne woreczki pękały na zeszyciu przez środek, i każda połowa odwróciła się na lewą stronę, przyczem obficie wysypywał się żółto-pomarańczowy proszek. Klomb był cały pokryty tym proszkiem, a muszka podobna do młynarza mielącego żółtą mąkę. Gucio nie mógł już dłużej wytrzymać w roli obojętnego widza.

— Moja panno, co to wszystko znaczy?—odezwał się ostro, wskazując łapką na rozsypany proszek — po co tu weszłaś i dlaczego narobiłaś tyle nieporządku?

Muszka odwróciła się żywo, i zmierzyła go od stóp do głów bystreimi oczami.

— Aa! pokutujący człowiek!—rzekła nareszcie —nie spostrzegłam tego odrazu, boś czerwonej czapeczki na głowie nie miał. Cóż to pan dobrodziej przeskrobał?

Gdyby Gucio nie był w tej chwili muchą ale chłopczykiem, toby groźnie brwi zmarszczył; ale niestety, nie mógł tego uczynić, musiał więc poprzestać na powiedzeniu sobie, że nie warto zważać



na „baby“, choć zły był okropnie. Podniósł czapkę, która mu była spadła podczas snu, i kładąc ją na głowę, odpowiedział głosem napozór obojętnym:

— Moja panienko, mężczyźni nie lubią babom zwierzać się ze swoich tajemnic; nie żądaj więc odemnie odpowiedzi na swoje pytanie, bo musiałbym dla ciebie być niegrzecznym. Spodziewam się jednak że będziesz łaskawa wytłumaczyć mi, dla czegoś tu przyszła i naśmiecila?

— Dlatego żeby kwiat miał nasienie— odpowiedziała.

— Co? co? nie rozumiem panny!

— Słuchajże mnie z uwagą. Najważniejszą częścią każdego kwiatu, jest to—i to.

Tu wskazała umączoną łapką na wierzchołek kolumny, okryty teraz grubo żółtym proszkiem, i na pręciki z woreczkami.

— Pod wierzchem tej kolumny — mówiła — jest otwór głęboki, sięgający aż do samego dołu, gdzie ukryte są zalążki nasionek—i to wszystko razem nazywają ludzie słupkiem. Żeby jednakże z zalążków wytworzyły się nasiona, trzeba je zasilić tym żółtym pyłkiem, który się znajduje w woreczkach. Kwiat tego sam zrobić nie może, potrzebuje pomocy, i tę dajemy mu, my, owady. Wytrząsamy z woreczków pyłek, a on przeciska się między brodawkami, spada do środka słupka i zasila zalążki.



Gucio słuchając tego, kiwał głową z niedowierzaniem.

— Bywają kwiaty nie mające wcale pręcików, tylko same słupki, i inne, które znów słupków nie mają, tylko pręciki. W takich nasiona nie zawiązałyby się nigdy, gdyby usłużne owady nie latały po całych dniach z kwiatka na kwiatek, i nie znosiły na łapkach i skrzydełkach każdemu tego, co mu jest potrzebne. Bez nasion niema owoców: gdyby nie my i nie wiatr, co nam często w tej pracy pomaga, ty chłopczyku nie jadłbyś nigdy owoców. Jesteśmy Bożą czeladką i jak widzisz, odrabiamy ważną robotę z rozkazu Pana świata.

Gucio ciągle kiwał głową z niedowierzaniem: brzmiało to jak bajka z „Tysiąca nocy“—bo czytał był tę książkę. Czy podobna, żeby takie małe, nędzne stworzenia, miały tak dużo znaczyć w życiu świata? Muszka sobie chyba z niego żartuje.

Pomyślawszy chwilę, rzekł nareszcie:

— Wróbel mi mówił, że owady tępić trzeba jako szkodliwe rolnictwu, a panna nazywasz je Bożą czeladką. Któreż z was mówi prawdę?

— Jedno i drugie. Owady rozmnażają się z niesłychaną szybkością, znosząc rocznie setki tysięcy jajeczek; gdyby ich ptaki nie tępiły, to w krótkim czasie one jedne zapanowałyby nad światem. Niezmordowani ci robotnicy tak daleko posunęliby swą pracę, że nicby się nie ostało przed ich niemi-



syconem obżarstwem. Żadne stworzenie nie istnieje bez celu, ale w stosunku ich do siebie musi być zachowana równowaga.

— Dziwna rzecz, że panna przybywszy tu dla pracy, pomyślałaś jednak najprzód o jedzeniu — przerwał Gucio, który dotąd nie pozbył się jeszcze swej podejrzliwości względem gościa.

— Nie zapieram się tego. Bóg tak urządził, żeby praca wykonywana przez nas, łączyła się ściśle z naszym własnym interesem. Otrząsamy pyłki, szukając w kielichach kwiatów pożywienia dla siebie. Najczynniejsze w tej robocie są pszczoły, chociaż mojem zdaniem, one zanadto się poświęcają. Słodycz znajduwaną w kwiatach, noszą one do ula i gromadzą dla ludzi, który wprawdzie miód chętnie jedzą, ale pracy pszczół i trudu, nawet w setnej części nie oceniają tak, jak na to zasługują.

— Więc to jest słodkie? — zapytał Gucio, który nagle uczuł silny głód, wskazując łapką na wilgoć błyszczącą dokoła klombu.

— Jak miód, spróbuj tylko.

Gucio spróbował, a spróbowałszy połykał z chciwością wonny nektar.

— Żegnam pana, pokutujący człowieku — rzekła muszka, dygając uprzejmie. — W dalszej podróży, spotkasz się pewnie z księżniczką Joasią, która pokutuje tak samo jak ty, za złe obchodzenie się ze

służącemi. Bardzo jednak spuściła z tonu, od czasu jak służy u królowej pszczoł za popychadło. Jej królewska mość jest wielce surowa i wymagająca.

— Po czemże księżniczkę Joasię można poznać?—spytał Guccio.

— Nosi złocistą spódniczkę. Bądź zdrów. Dobrego apetytu!



## VII.

### Czarni rycerze.

---

Wczoraj jeszcze Gucio potrafił zjeść na podwieczorek całego kurczaka, a dziś odrobina słodczy wystarczyła mu na pierwsze śniadanie. Skończywszy posiłek, wyszedł zobaczyć co się dzieje na dworze.

Kształt balkonu z którego wczoraj przy świetle księżycy słuchał koncertu, zmienił się nieco przez noc. Lilija jeszcze więcej rozkwitła, a płatki jej wywinęte na zewnątrz i połączone z sobą, tworzyły z jednej strony kwiatu długi zębaty ganek, po którym można było swobodnie spacerować. Gucia wszystko dziwiło i zajmowało. Co chwila odkrywał coś nowego, a on zawsze za nowościami przepadał. Na jednym ze śnieżnych płatków, kilka kropli rosy zebranych razem, tworzyło malutką sadzawkę. Gucio, który dziś jeszcze nie myślał o odświeżeniu



toalety, skorzystał z tego żeby się wykąpać. Pierwszy to raz od chwili gdy został zaczarowanym, ujrzał swój obraz odbity w wodzie: miał on takie same oczy złożone z mnóstwa małych sześciennych oczek, jak owa muszka z którą tylko co się pożegnał, a które go tak dziwiły; miał takie same trzy dodatkowe oczka na czole, i takie same różki.

— Pięknie wyglądam, ani słowa — rzekł do siebie i westchnął.

Zanurzył się kilka razy z rozkoszą i wyskoczył, a otrząsnąwszy skrzydełka z wody, przeszedł na stronę ganku wystawioną więcej na słońce, żeby się osuszyć.

Tutaj uderzył go niespodziewany widok. Pod krzakiem róży, na ścieżce, leżał martwy artysta, którego śpiewu wczoraj w uroczystym milczeniu słuchała cała wioska. Oczy zamknięte, piórka poszarpane pod gardłem, krwawa rana na piersiach i nóżki kurezowo zgięte pokazywały, że biedny śpiewak zginął gwałtowną śmiercią... Nieco dalej na ścieżce, leżało trochę piór wyrwanych ze skrzydeł, a tuż przy nich na wilgotnym piasku, odcisnięte były wyraźnie ślady pazurów kota. Wszystko wskazywało że napad był nagły, niespodziany, i że zabójca jakimś szelestem spłoszony, uciekł, zostawiając swoją ofiarę.

— A, zbrodniarz! — zawołał Gucio, przejęty zgrozą—gdybym mógł, zastrzeliłbym go bez lito-



ści! Biedny, biedny artysta! tak cudownie wczoraj śpiewał i nie przeczuwał pewnie, że to jego ostatni koncert... Jak ja mogłem spokojnie spać w nocy, gdy blisko mnie działy się takie straszne rzeczy!

Chciał zbliżyć się do zabitego, ale zauważył, że jego zwłok pilnują dwa owady z bardzo podejrzanymi minami, i to go wstrzymało.

Odziane czarnymi pancerzami, z dwiema żółto-czerwonawymi pręgami na skrzydłach, wyglądały jak żałobnicy, a trójkątne hełmy na głowach i ostrogi przy tylnych nogach, zdawały się mówić, że te mundury zostały przywdziane dla oddania honorów wojskowych nieboszczykowi. Co jednak Gu-cia najwięcej uderzało w tym stroju, to duże rogi jakimi były hełmy opatrzone. Z całej tych rycerzy postaci, mileżącej, ponurej, zdawało się że to chyba piekło ich przysłało po duszę śpiewaka. Ale co taki poczciwy ptaszek, który rozweselał i cieszył ludzi zmęczonych pracą—i nie tylko ludzi, bo wszystkie stworzenia, mógł zgrzeszyć?

Jak stolarz obchodzi dokoła ciało nieboszczyka kiedy bierze miarę na trumnę, tak obaj czarni rycerze krążyli dokoła zwłok nieszczęśliwego śpiewaka; poczem stanęli, kilkakrotnie dotknęli się rogami swoich hełmów, jakby dając sobie jakieś znaki tajemnicze, i jeden się oddalił a drugi pozostał na straży.



— Ciekawy jestem, czego oni chcą?—pytał sam siebie Guccio, i czekał co dalej będzie.

Niedługo czekał. Z górnych warstw powietrza doleciał go głuchy szmer, szmer szczególny, zagadkowy, nigdy jeszcze dotąd niesłyszany, który stawał się coraz wyraźniejszym—i jednocześnie rozeszła się silna woń piżma. Zaciekawiony, kto też się tak uperfumował, spojrzął w górę i zobaczył lecący cały oddział czarnych rycerzy; wiódł ich prawdopodobnie ten sam owad, który się ztąd niedawno oddalił. Oddział składał się z kilkunastu.

Stanąwszy na ziemi, wszyscy zaczęli wspólnymi siłami ściągać zwłoki śpiewaka ze ścieżki, gdzie było pełno ostrych zwirowatych kamyczków, na piasek, pod krzak lilii, na którym siedział Guccio.

— Moi panowie, co chcecie zrobić z tym biednym ptaszkiem?—odezwał się Guccio, przemógłszy swoją niechęć do czarnych postaci.—Nie róbcie mu nic złego, bardzo was o to proszę!

— Człowiek pokutujący! człowiek pokutujący!—szeptali pomiędzy sobą rycerze, oglądając się na niego, a jeden, wyglądający na starszego trochę, odpowiedział.

— Bądź spokojny chłopczyku, nie mamy żadnych złych zamiarów, chcemy tylko zamordowanego ptaszka pochować.

Guccio niezmiernie się zdziwił.



— Przepraszam bardzo za moją ciekawość— odezwał się znowu — ale... dla czego panowie bierzecie się do tego? Czy grzebanie umarłych jest zwykłym waszem zatrudnieniem?

— Tak, chłopczyku. Jesteśmy grabarzami wszystkich nieżywych stworzeń małego rozmiaru, jak na przykład ptaków, myszy, susłów, chomików i wielu innych. Groby które kopujemy, są zarazem kolebkami naszych dzieci; składamy bowiem jajka w martwe ciało, żeby wylęgnięte z nich potomstwo znalazło zaraz gotowy pokarm pod ręką. Bóg chce, abyśmy z pracy jaką podejmujemy dla świata, i dla siebie też wyciągali jakąś korzyść. Innej zapłaty za robotę nie bierzemy.

— Nie rozumiem co świat na tem korzysta— wtrącił Guccio.

— Czyż nie zgadujesz tego chłopczyku? Gdyby nie my, wszystkie nieżywe zwierzątka rozkładałyby się i zatrzymały powietrze, a zarazem w krótkim czasie zdziesiątkowałyby ludność.

— A jeżeli padnie koń albo krowa, to kto się zajmuje ich pogrzebem?

— Nasi krewni nazywający się grobowcami i kłosańcami; ale oni nie grzebią umarłych tak jak my, tylko ich pożerają, i to nie prędzej, aż ciało zacznie się rozkładać. Jeżeli rozkład niedość prędko następuje, grobowce wydają z siebie ciecz bru-



natną i cuchnącą, prawdziwy napój śmierci, pod wpływem którego ciało prędzej gnije.

Gucio się cały wstrząsnął, zgroza go przejmowała.

— Wgryzają się one pod skórę zwierzęcia — mówił grobarz dalej — i w krótkim czasie tak dokładnie wszystko wyjadają, że nie zostaje ani kosteczka. Załatwiają się one z największymi zwierzętami prędzej, niż psy i wilki. Wy ludzie pokutujący, dziwiecie się wszystkiemu. Niedawno na pogrzebie małej myszki, która przez łakomstwo wpadła w pułapkę, musiałem opowiedzieć to samo pewnej małej księżniczce, która ze złe obchodzenie się ze służącymi musi teraz służyć u królowej pszczoł za popychadło. A ty chłopczyku za co pokutujesz?

Gucio, którego w najgorszy humor wprowadzały pytania dotyczące tego drażliwego przedmiotu, udał że nie słyszy.

— Bądź pan łaskaw powiedzieć mi jeszcze, kto was zawiadamia o śmierci zwierzątek? Czy rodzina i przyjaciele zmarłych?

— Nasz własny węch: zdaleka czujemy śmierć. Ale dość tej gawędki! towarzysze, do roboty!

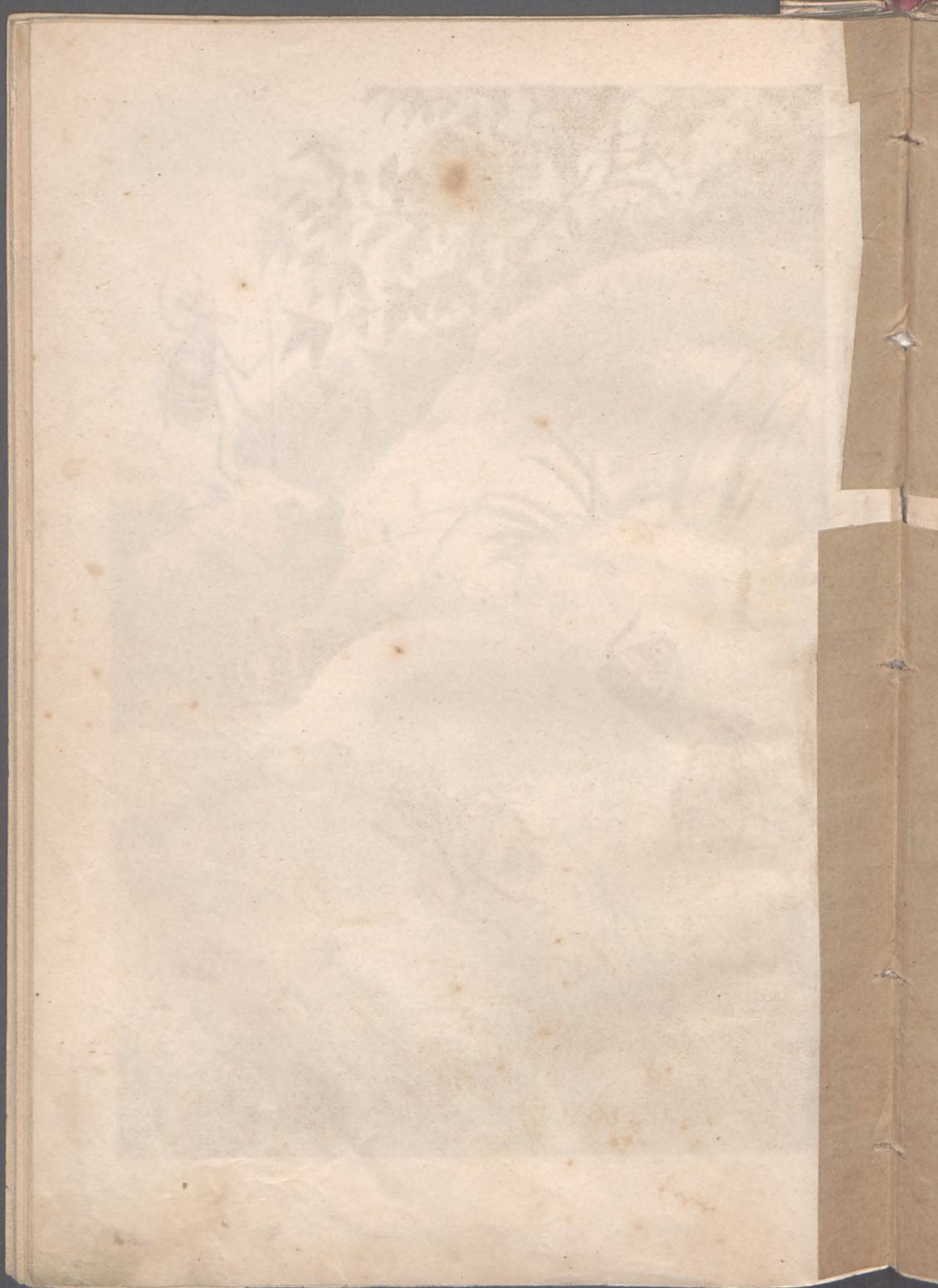
Jakby na komendę, cały oddział pochyliwszy się, zaczął się wciskać łapkami pod ciało ptaszka, kopiąc jednocześnie przednimi nogami ziemię z nadzwyczajną szybkością, i odrzucając ją na bok tylnymi. Guccio podziwiał te nogi silne, opatrzone





w Lit. W. Głowczewskiego.

Kopali ziemię z nadzwyczajną szybkością.





haczykami, doskonale zastępującymi łopaty. Zwłoki śpiewaka zagłębiały się w ziemię coraz więcej; a gdy się zupełnie schowały, czarni rycerze zaczęli wyprawiać na nich szalone skoki, istny taniec czarownic, poczem zasypali je ziemią tworząc mały wzgórek, udeptali i odeszli. Nie pozostał najmniejszy ślad krwawego dramatu jaki się tu w nocy odegrał; tylko kilka piór leżących na ścieżce, zostało jako jedyna po wielkim artyście pamiątka, a i te za chwilę wiatr rozwieje.

Biedny śpiewak! niechaj mu ziemia lekką będzie...

## VIII.

### Gucio odpoczywa u tkacza pustelnika.

---

Gdy grabarze po skończonym pogrzebie odeszli, Guccio wstrząśnięty głęboko widokiem jaki miał niedawno przed oczyma, pozostał z niewesołymi myślami o śmierci i znikomości życia, o biednym śpiewaku śpiącym teraz cicho w mogile, i zapytywał sam siebie, czy istotnie oprócz kilku piórek na ścieżce, nic więcej po nim nie pozostało? O nie! kto słuchał jego pieśni natchnionych, ten nie zapomni wrażenia jakiego doznał i zachowa w sercu życzliwe o nim wspomnienie. On sam czuł to po sobie.

Tu zaczął się zastanawiać coby też to było, gdyby on umarł. Mateczka rozchorowałaby się ze zmartwienia, siostrzyczka i ojciec płakaliby bardzo,



nawet śludzy żałowałiby go, bo szczerze lubili pa-  
nicza. Ale po pogrzebie każdyby sobie pomyślał:  
—ten chłopiec tak martwił rodziców swoim leni-  
stwem, że lepiej iż go Bóg zabrał. Świat i tak nie  
miałby z niego żadnego pożytku.

Zapłakał nad sobą.

Ale trudno jest wytrwać długo w myślach po-  
sępnych, gdy słońce świeci jasno, niebo jest pogo-  
dne, a usposobienie pokutnika z natury żywe. To też  
Gucio otrząsał się prędko z przykrych wrażeń.  
Przypomniała mu się owa księżniczka Joasia, o któ-  
rej mówili mu wszyscy: wróbelek, muszka i gra-  
barz. Ciekawy był ją poznać i dowiedzieć się od  
niej samej o jej losach. Gdyby wiedział gdzie jej  
szukać, poszedłby prosto do niej. Ona tam pewnie  
biedaczka bardzo jest nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza  
jeszcze od niego. On przynajmniej jest swobo-  
dnym, robi co chce; a ją pewnie pszczoły pędzą do  
pracy od rana do nocy, dokuczają, łajają, kołają żądła-  
mi i może nawet jeść nie dają. Biedna, biedna  
księżniczka! Może ona potrzebuje opieki i pomocy  
mężczyzny, może oczekuje wybawiciela!

Gucio czytał i słyszał nieraz o królewiczach,  
wybawiających zaklęte księżniczki; czemu więc nie  
miałby jej wybawić, albo przynajmniej los jej zła-  
godzić? Nie był wprawdzie królewiczem, ale miał  
serce tkliwe na niedolę bliźniego i duży zapas ry-  
cerskiego zapału. Jak ją wybawić, nie wiedział



i nawet nie próbował łamać nad tem sobie głowy. Alboż ów rybak z baśni czarodziejskiej, co złowił rybkę złotą, albo ów pasterz co szedł na koniec świata dla odszukania jabłoni rodzącej złote jabłka, wiedzieli jak zdobyć swoje skarby? Czy się choć trochę namyślali? Gdzie tam! szli w drogę śmiało i pokonawszy tysiączne przeszkody i niebezpieczeństwa z pomocą Bożą, zawsze dochodzili do celu. O tem, że dla małego owadka każde przedsięwzięcie musi być trudniejszym, niż było dla rybaka i pasterza— oraz że wybawiciel sam potrzebował wybawienia—rycerski nasz bohater nawet nie pomyślał. W drogę więc, w drogę! Pasieka mieści się w części ogrodu stykającej się z lasem. Gdyby zabłądził, to przecież spotka w podróży kogoś, co mu wskaże w którą udać się stronę.

Widząc jak ptaszki bujały, to wznosząc się, to opuszczając z pełną wdzięku swobodą, zapragnął odbyć podróż na skrzydłach i wzbił się w powietrze, kierując się ku lasowi. Już się trochę oswoił ze swym przyrządem do latania i nauczył sterować, zapatrując się na inne owady. Jak rybka pływająca po nad dnem rzeczki wysłanem kamyczkami i porostami, tak on unosił się nad kwiatami i krzakami, nad miejscami które wczoraj jeszcze przebiegał jako chłopczyk. Poznawał ścieżki, drzewa, gąszcze, tylko dziwna rzecz: nie mógł zgadnąć w której stronie jest dwór. Ilekroć mu się zdawało



że trafił na ślad, zawsze zbłądził. Nie mogąc widzieć nikogo ze swych ukochanych, pragnął zdaleka chociaż spojrzeć na dom w którym żyli. Zdało mu się, że gdyby się przekonał że dom stoi na miejscu tak jak dawniej, byłoby mu lżej. Ale widać Bóg chciał go ukarać, bo odmówił mu tej pociechy.

Długo tak bujał, kąpiąc się z rozkoszą w ciepłym promieni słońca. Jazda powietrzna sprawiała mu więcej przyjemności, niż niegdyś bujanie na huśtawce, która to zabawa była mu ulubioną.

Ale po półgodzinnej podróży spostrzegł, że jakoś nie zbliża się do celu. Ogród się w dwójnasób powiększył, że ani sposób się z niego wydostać; lasu ani widać, a skrzydełka już się zmęczyły, i chcąc niechcąc trzeba popasać.

Zniechęcony, usiadł pod drzewem na liściu łopianu, przemyśliwając kogoby o dalszą drogę się spytać, gdy nagle ujrzał z najniższych gałęzi drzewa spuszczonego się pająka.

Ciało jego okrągławe, ciemne, upstrzone było białymi kropkami ułożonemi w kształt krzyża na grzbiecie, a głowa zrosnięta z tułowiem cienką szyjką. Z piersi wyrastały cztery pary nóg olbrzymiej długości. Lina na której wisiał, przymocowana do gałęzi, przedłużała się tak szybko, jak gdyby pająk z kłębka ją odwijał. Nie było tam jednakże żadnego kłębka, ale coś ciekawszego, wię-



cej zadziwiającego: pajak miał na końcu ciała kilka drobnych gruczołków, z których sączyła się jakaś lepka materya i w mgnieniu oka tężała na cieniutkie, ledwie dające się dojrzeć włókienka. Pajak za pomocą nóg opatrzonych na końcach małemi grzebyczkami, zlepił te włókienka w jedną niteczkę, niby biegła prządka snująca swoją przędzę. Nitka owa przedłużająca się ciągle, a więcej jeszcze pyszczek zwierzątka zakończony ostremi szponami, i ośm okropnych oczu patrzących uporeczywie w naszego podróżnego, napęłniły go niemałą obawą—i gdyby nie ciekawość przykuwająca go do miejsca, uciekłyby niezawodnie.

Gdy już mała tylko dzieliła ich odległość, pajak wyciągnął ku niemu jedną z przednich łap, opatrzoną mocnym, ostro zakończonym haczykiem, i zrobił taki ruch, jakby się gotował do skoku. Guccio zerwał się, zatoczył krąg w powietrzu i usiadł na drugim liście, a pajak cofnął się mruknawszy z niezadowolnieniem:

— Do licha! myślałem że to zwyczajna mucha, a to człowiek pokutujący — i śniadanie przepadło! Czego tu chcesz chłopcze? Czy masz do mnie jaki interes? Może się chcesz nauczyć robić siatkę?

— O nie — odpowiedział Guccio, patrząc nań z nieukrywaniem wstrętem — idę do królestwa pszczoł i zabłądziłem. Czy pan nie mógłbyś mi wskazać drogi?



— I owszem. Idź prosto przed siebie, a potem weź się na prawo: zobaczysz tam duże miasto, które ludzie nazywają pasieką. Domy w niem drewniane, wąskie, na wysokich nogach, z dachami spadzistemi. Była tu u mnie ztamtąd przed godziną księżniczka Joasia, która służy u królowej za popychadło, i płakała bardzo z tęsknoty za matką.

— Płakała? — pochwycił Guccio ze współczuciem—biedna! Ja idę właśnie do niej. Bądź pan zdrów.

— Zaczekajże — wołał pajak — nie spiesz się tak bardzo, bo i tak nie zastaniesz jej teraz. Królowa wysłała ją po jakiś osobliwy pyłek z kwiatów wodnych, a to jest daleko. Będiesz miał jeszcze dosyć czasu. Chodź, zobacz tymczasem moją siatkę!

Guccio zgodził się, acz niechętnie, na obejrzenie warsztatu pajaka. Bądź co bądź, była to rzecz ciekawa i warta widzenia. Siatka rozpościerała się pomiędzy dwiema gałęziami, w kształcie koła, w którym nitki promienisto rozchodziły się w równych odstępach od środka. Guccio podziwiał doskonale zachowane wymiary, i nieporównaną sztukę w urządzeniu tkanki.

— Bardzo to piękny i delikatny wyrób—powiedział nareszcie —ale szkoda, że nie przyda się nikomu na nic, chyba tylko dla pana samego, na sidła do łapania tych biednych muszek, które tu



widzę uwikłane i już nieżywe. Cóż z tego że wiesz żywot pracowity, kiedy dla nikogo więcej nie użyteczny. Czy nie byłoby lepiej, żebyś sobie próżnował?

— Mylisz się chłopcze. Pajęczyna zmięszana z chlebem, od wieków używana jest do tamowania krwi. Ale nie na tem koniec: próbowano z niej wyrabiać pończochy i rękawiczki, a Ludwik XVI król Francyi, kazał z niej nawet dla siebie utkać suknię. Wprawdzie rzucił ją wkrótce, narzekając że się prędko podarła, ale to tylko dla tego, że nie wynaleziono jeszcze sposobu nadania pajęczynie trwałości. Kiedyś to przyjdzie. My tymczasem nie ustajemy w pracy i czekamy cierpliwie. Ty chłopcze, jesteś czemś więcej odemnie, bo jako człowiek, masz pod ręką tysiące sposobów stania się użytecznym, a czy w swem życiu zrobiłeś coś lepszego od pajęczyny?

Gucio nie znalazł na razie odpowiedzi: mocno pomieszany, pożegnał pająka i spiesznie się oddalił.

Na zakręcie ścieżki ukazał się stary ogrodnik Maciej, w swoim wielkim słomianym kapeluszu z obszarpanemi brzegami, i w granatowym płóciennym spencerku, z pod którego wyglądała koszula. Codziennie regularnie o tej porze, poczciwy staruszek szedł do stawu, nabierał mętnej wody w blaszaną konewkę, i podlewał kwiaty i krzewy delikatniejsze.



Gucio na widok swego dobrego przyjaciela, zerwał się i poleciał ku niemu.

— Dobry, kochany Macieju—wołał krążąc koło jego kapelusza—ty mnie poznasz, ty odgadniesz w małej muszce swojego panicza i powiesz mu, czy w domu wszyscy zdrowi i czy się bardzo martwią, zem im zginął?

Maciej przystanął na chwilę, postawił konewkę na ziemi, zdjął kapelusz i jał się nim od natrętniej muchy opędzać, co brzęcząc głośno, latała mu ciągle koło ucha.

— A to ci uparte stworzenie! — rzekł nareszcie zniecierpliwiony — i otworzywszy swoją żyłastą dłoń, tak nią machnął w powietrzu, że o mało nie zabił panicza.

Gucio z boleścią uciekł.

— Nie poznał mnie — mówił do siebie z płaczem—nie poznał, a ja go tak kochałem!...

I spoglądając wzrokiem pełnym wyrzutu za ogrodnikiem, który krok za krokiem postępując podlewał dalej kwiaty, czuł do niego żal głęboki, że z takim spokojem wypełniał swoje codzienne zatrudnienie, zamiast się troskać o panicza, zamiast go szukać i wołać na wszystkie strony.

— Gdyby Helusia zginęła, toby jej szukał — myślał, czując że brzydkie uczucie zazdrości ścisiska mu serce. —Ona go nauczyła czytać...



Gorzko mu było w sercu i gorzko w ustach; widok wody spadającej rześistym deszczem na kwiaty z koneweczki, obudził w nim pragnienie. W powojach błękitnych rosnących nad brzegami trawników, pełno było tego deszczu. Guccio usiadł na jednym kwiatku, ale zaledwie zajrzał do kielicha, odešla go wszelka ochota do picia.

W wodzie roiły się miliony istot potwornych, do węży podobnych; u wielu z nich drobnutkie włoski, niby kolce pokrywające jeża, zastępowały plewty rybnie przy odbywaniu ruchów. Węże te wiły się z niesłychaną szybkością, uganiały za mniejszemi od siebie istotkami kształtu kulistego, i staczały z nimi walki tak zacięte, że trudno było odróżnić napastnika od napastowanego. Walki kończyły się pożeraniem.

— Ktoby pomyślał, że w kropli wody mogą się dziać tak straszne rzeczy! — mówił do siebie Guccio, patrzący na to ze zgrozą. Chciał się oddalić co prędzej, bo miękkie miał serce, ale niezwykłość widowiska przykuwała go do miejsca.

Zwierzątka były różnej wielkości i kształtów tak niezwyuczajnych i dziwacznych, że nietylko spotkać, ale wymyśleć coś podobnego byłoby trudno. Jedno zwłaszcza całe zielone, z czerwonym oczkiem na przodzie ciała, zmieniało bezustannie swoją postać, to kureząc się, to rozszerzając. Inne znów



nadmiernie szerokie, z głową pokrytą włosami, podobne były do ryb; inne do woreczków i roślin; mających pączki kwiatowe — a inne jeszcze wyrzucały z siebie kuleczki, które zrazu nieruchomo pływające, po pewnym czasie zaczynały się ruszać jak żywe. Były też tam zwierzątka podobne do dzbanuszków, do cieniutkich niteczek, i Bóg wie do czego!

Panna Anna mówiła nieraz Guciowi, że kropla wody ma dużo mieszkańców, i że niektórym z nich, większym, przyjrzeć się można przez mikroskop — narzędzie przeznaczone do badania niewidzialnych gołym okiem drobiazgów — ale naturalnie, puszczał to mimo uszu, jak wszystko co miało jakąkolwiek styczność z nauką. Teraz jednak, gdy oczy muchy zastępowały mu najdoskonalszy mikroskop, gdy zobaczył to, czego oko ludzkie nie może dostrzedz bez pomocy narzędzi, zrozumiał, że nauka jest potrzebna do poznawania cudów tego świata — i że bez niej człowiek chodzi po ziemi, jakby na pół ślepy.

Poznawać wielkie dzieła ręki Bożej, wiedzieć jak drzewo rośnie i z kąd kwiat bierze swoją barwę; widzieć jak żyją zwierzęta, jak gwiazdki chodzą po niebie i dla czego się raz pokazują, drugi raz znów chowają; jednym słowem wiedzieć dużo, jak najwięcej — to za rozkosz! Człowiek wtedy na rośliny, na zwierzęta, na gwiazdy, patrzy jak na swoich do-

brych znajomych, co nie mają przed nim tajemnic. Gucio pojął teraz, że nie znał nic i nikogo; wszystko dla niego było obce, a rozumu uczył się dopiero od zwierząt i robaków, na które dawniej patrzył z pogardą, lub deptał nogą nie wiedząc nawet o tem. Co za upokorzenie!

---



## IX.

### Gucio ocala zakłątą księżniczkę.

---

— Może znajdę gdzie w cieniu drzew kilka kropel czystej rosy, których słońce jeszcze nie wysuszyło — myślał Guccio przelatując nad kwiatami, zaglądając do kielichów i pomiędzy listeczki. — Zresztą, komu w drogę, temu czas!

W powietrzu tymczasem zrobiło się duszno i parno; na niebie zaczęły się w różnych punktach ukazywać małe, szare chmurki i biegać jedna za drugą, jakby się goniły; nareszcie zbiwszy się w jedną wielką gromadę, przybrały barwę ołowianą. Ptaki i owady, latały przy ziemi niespokojne i uciekały do gniazd. Grube pojedyncze krople zaczęły padać, potem błysnęło, rozległ się grzmot, i rześista spadła ulewa. Guccio zawsze roztrzepany, nie widział stopniowego gromadzenia się chmur, i do-



piero gdy ciemno się zrobiło, gdy zaczęło grzmieć i błyskać, zobaczył że burza nadchodzi. Zaskoczyło go to zupełnie niespodzianie, o kilkadziesiąt kroków od strumienia płynącego dołem ogrodu. Przemokły, drżący, schował się między gałązki kaliny, i uczepiwszy się mocno nóżkami jednego liścia, czekał co dalej będzie.

Ogród rozpościerał się na wzgórzu i spuszczał coraz niżej do strumienia. W skutek tego położenia, górna połowa ogrodu obsychała bardzo prędko, ale za to dolna w czasie niewielkiego nawet deszczu, doświadczała prawdziwych klęsk powodzi. Strugi płynące z góry, wyłabiały w gładkiej ścieżce rowy, doły, kanały; porywały żwir, liście, gałązki, słowem wszystko cokolwiek spotkały na drodze—i niosły w dół do strumienia, który wzbogacony takim przyływem wody, stawał się szerszy najmniej o pół łokcia. Pan H. zawsze zbierał się temu zaradzić, ale przy ważniejszych sprawach gospodarczych, nie mógł sobie dotąd znaleźć czasu na tę drobnostkę.

Gucio przez szczeliny swego schronienia, patrzył na te wodospady płynące z góry, na które, gdy był jeszcze człowiekiem, nie zwróciłby nawet uwagi, ale które w położeniu w jakim się obecnie znajdował, wydawały mu się przestraszającami. Bał się, żeby woda nie podkopała krzaka lub nie wyrwała go z korzeniem. Do tego wprawdzie nie przyszło, ale stało się coś innego, czego Guccio wcale nie



przewidywał. Zerwał się silny wiatr i tak gwałtownie szamotał gałęziami, że z drzew odrywały się iście i latały w powietrzu jak ptaki, lub padały na ziemię, a porywane prądem wody, płynęły w dół do strumienia.

Gucio ani się spostrzegł, jak liść do którego się przyczepił, popłynął wraz z innymi. Przeskakiwał on nieraz przez ten strumyczek, nie zamaczawszy nóg nawet — a dzisiaj wydawał mu się olbrzymią rzeką, której wzburzone fale mogły w każdej chwili zatopić jego wątłą łódkę. Hałas potoków wpadających do tej rzeki, trzask gałęzi, szum wiatru, grzmoty i błyskawice, wszystko to przerażało go i ogłuszało. Zaczął po cichu odmawiać psalm „Kto się w opiekę” i zaledwie go skończył, wiatr przycichł, a przez chmury przedarł się promyk słońca i rozpędził czarne, pokrywające błękit zasłony. Deszcz przestał też padać, a przez sam środek nieba rozpostarła się wspaniała siedmiobarwna wstęga tęczy.

Bałwany na strumieniu uspokoiły się także, a zielona łódka Gucia posuwając się ciągle z biegiem prądu, nie potrzebowała już obawiać się zatonięcia. Dokoła niej płynęły nieżywe owady, drobne gałązki, liście wierzby, kasztanów i kawałeczki słomy. Guccio wyciągnął łapkę i pochwycił jedną słomkę, cienką jak nitka ale twardą, chcąc użyć jej zamiast wiosła. Próba udała się: łódka zrobiła



obrót w prawo, obrót w lewo, a potem posłuszna woli żeglarza, płynęła środkiem strumyka, mijając od czasu do czasu całe gromady liści zbitych w jedną ławicę, lub większe kawałki drzewa, z którymi spotkanie mogło jej grozić zatopieniem lub rozbiciem.

Żabki zielone które się były pochowały przed burzą, wychodziły jedna po drugiej na spacer, a ropuchy dążyły w stronę zagonów kapusty, której liście starannie z liszek zazwyczaj obierały; drobne rybki wychylały łebki z wody i przypatrywały się Guciovi, towarzysząc jego łódce chwilami! Podróżny nasz przyglądał się wszystkiemu ciekawie, rybkom i porostom wodnym, i kamyczkom leżącym na dnie —bo wszystko to, a nawet jego łódka, wiosło i podróż wodna, były dla niego nowością.

Gdy on pochłonięty cały przez nowe wrażenia, zapomniał zupełnie o minionem niedawno niebezpieczeństwie, jedna mała pszczołka porwana wodą walczyła o życie. Ilekroć nadpływał liść czy gałązka, wyteęzała wszystkie siły żeby się do nich dostać, ale zanim zdążyła, mijały obok niej. Już ledwie poruszała nóżkami... Gucio zobaczywszy jej rozpaczliwe wysilenia, skierował ku niej swoją łódkę, i za pomocą wiosła, którego końca uchwyciła się konwulsyjnie, pomógł jej wejść na pokład. Ale zaledwie dotknęła go nóżkami, zemdląła z osłabienia i przestrawu.



Gucio przełęczony skakał dokoła niej, pragnąc ją ratować, a nie wiedział jak się wziąć do tego, zwłaszcza że nie miał przy sobie ani wody kolońskiej, ani anodyn. Gdyby wiedział gdzie mieszka doktor pszczolniczy, poleciałby po niego—ale gdzie go szukać? Niemało się biedny chłopiec natroskał zanim odzyskała przytomność, i niemało nawyrzekał na „baby“, że od byle czego mdleją.

Otworzywszy oczy, pszczołka podziękowała w tkliwych wyrazach swemu wybawcy, i zaczęła otrzepywać skrzydełka z wody, suszyć je na słońcu, składając i rozkładając. Przy tem przywracaniu toalety do porządku, Guccio zobaczył złocistą spódniczkę, której poprzednio, przy wyciąganiu pszczołki z wody nie dostrzegł, bo była nawskróś przemoknięta.

— Czy ty nie jesteś czasem zaklętą księżniczką?—zapytał, wzruszony niespodzianym widokiem tej, której szukał.

— Zgadłeś—odpowiedziała—ale zkąd to wiesz? Kto ci o mnie mówił? Ja się odrazu domyśliłam, żeś ty człowiek pokutujący, jak tylko zobaczyłam twoją czapeczkę. Ale powiedz mi, jak się nazywasz i za co pokutujesz?

Guccio nie wiedział na które pytanie ma wpród odpowiedzieć, tyle ich było razem — ale zaczął od ostatniego, to jest od własnej historyi. Szczęśliwy, że znalazł nareszcie kogoś, kto go po ludzku zrozu-



mie, opowiedział wszystko, nie nie ukrywając — chociaż wyznanie kosztowało go trochę. W dieście minut księżniczka знаła jego przygody tak dobrze, jak on sam, tylko wiadomość o chęci wyswobodzenia jej z uła, przyjęła z uśmiechem politowania.

— Dobry z ciebie chłopiec — powiedziała — ale wiedz, że nikt w świecie nie zdoła wybawić ani mnie, ani ciebie, oprócz wróżki. Ona jedna tylko może odwołać zaklęcie, a kiedy to zrobi, nikt nie wie. Od czasu jak mnie dotknęła swoją złotą laseczką, nie widziałam jej ani razu, a pokuta moja trwa już cały tydzień.

— Jakże to było? — pytał Guccio.

Księżniczka Joasia westchnęła.

— Moi rodzice są bardzo bogaci — rzekła po chwili milczenia — mieszkają niedaleko ztąd w pięknym pałacu, gdzie jest pełno obrazów, zwierciadeł, dywanów i marmurów. Mama kochała mnie bardzo i była ze mnie dumną, uczyłam się bowiem dobrze i moja nauczycielka wychwalała mnie zawsze. Nie było w tem jednak mojej zasługi, bo miałam doskonałą pamięć, i dość mi było przeczytać coś parę razy z uwagą, żeby mózdz prawie dosłownie powtórzyć. Pomimo to, oprócz mamy, nikt mnie w domu nie lubił, bo byłam kapryśna, popędliwa, a wady te mego charakteru najwięcej się dawały uczuć służącym, któremi pogardzałam, uważając



ich zawsze za istoty niższe od siebie. Stara Maryanna, która mnie wypiastowała, najwięcej ucierpiała. Nigdy w niczem nie mogła mi dogodzić: przy czesaniu krzyczałam zawsze w niebogłosość, że mnie targa, aż mama przybiegała łajac ją za nieostrożność. A co miała z ubieraniem i myciem!... Nieraz biedna skrycie płakała, nie śmiejąc się nawet poskarżyć.

Jednego dnia miałam jechać z mamą na wizytę w sąsiedztwo, i koniecznie domagałam się, żeby mi włożono niebieską aksamitną sukienkę, świeżo przysłaną przez babcię z Warszawy; ale mama powiedziała, że to byłoby niewłaściwe z powodu wielkiego gorąca na dworze, i kazała mi włożyć białą muslinową. Zła byłam okropnie i gdy Maryanna przyniosła mi tę suknię, nad której prasowaniem i rurkowaniem męczyła się od rana, powiedziałam jej z gniewem, że brzydko jest uprana i zgniółwszy suknię w rękach, rzuciłam z pogardą na ziemię. Oburzona Maryanna powiedziała mi wówczas, że mam złe serce, i że woli mojej mamie podziękować za służbę, niż usługiwać takiej grymaśnicy. Zawrzałam gniewem i przyskoczywszy do niej, uderzyłam ją z całej siły. Ach Guciu! gdybyś widział jak na mnie spojrzała!... Powiadam ci, że nie zapomnę tego do końca życia: była w jej wzroku taka bolesć, że aż zdrętwiałam przerażona własnym czynem. Stałam tak chwilę bez ruchu, patrząc jak wycho-



działa ocierając łzy fartuchem, jak szła przez ogród do oficyny. Gdy mi zniknęła z oczu, rzuciłam się ku drzwiom, chcąc ją dogonić i ułagodzić jakim podarkiem, ale zamiast niej spotkałam wróżkę. Długa jej szata czarna jak noc mieniła się iskrami, a z pod chustki pokrywającej głowę wymykały się siwe kosmyki włosów. Twarz miała mocno pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów.

— To ta sama, co mnie zaczarowała w muchę — przerwał Guccio.

— Oczy jej patrzące przez wierzch tych okularów, miały blask nadzwyczajny, a tak patrzyły przenikliwie, że czułam jak mnie przeglądają nawskróś.

— Zupełnie tak jak ja.

— Niedobra dziewczyno—przemówiła do mnie surowo—niedość że nie umiesz uszanować pracy ludzkiej, ale jeszcze ośmieliłaś się podnieść rękę na kobietę, co cię wypiastowała!... Popełniłaś zbrodnię, która nie może pozostać bez kary. Nie warta jesteś żyć w społeczeństwie ludzkim, więc pójdziesz w służbę do najpracowitszych istot na świecie, do pszczół, i tam w pocie czoła od rana do wieczora pracować będziesz dopóty, dopóki nie nauczysz się szanować pracy, i nie zrozumiesz całej wielkości twego występku. Zamieniam cię w pszczołę roboczą!



To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką mego czoła i poczułam, że się ze mną dzieje coś dziwnego. Stawałam się coraz mniejsza, mniejsza, mniejsza, aż spostrzegłam, że moja dawna postać gdzieś się podziała, a ja jestem tylko małym, drobnym owadkiem. Rozpacz mnie ogarnęła. Chciałam wróżki błagać o litość, chciałam jej prosić żeby mi dała czas do poprawy, a będę odtąd zupełnie inną; ale zniknęła tak nagle, jakby się ziemia pod nią rozstała. W powietrzu tylko było słychać jakieś dziwne szmery i świsty. Zaczęłam wołać, krzyczeć, płakać, szukać ratunku, ale nikt mi nie odpowiadał, bo nikt mnie nie mógł słyszeć: nie miałam już ludzkiego głosu; tylko brzęczałam tak jak teraz. Ach jakież ja byłam nieszczęśliwa!

— Tak samo zupełnie było ze mną — szepnął Guccio kiwając smutnie głową.

## X.

### Statek Gucia przybija do królestwa pszczoł.

— Dalsze moje przygody bardzo były podobne do twych—mówiła dalej Joasia. — Zapoznałam się z temi i owemi owadami, trochę błądziłam w drodze, aż nareszcie dwie pszczoły przysłane przez wrózkę, wzięły mnie między siebie i przyłączyłyśmy się wszystkie do roju zawieszzonego na drzewie.

— Jak żyję, nie widziałem jeszcze roju — odezwał się Gucio.

— O! to jest bardzo ciekawe — mówiła dalej Joasia. — Wyobraź sobie wielką gromadkę pszczoł zbitych w jedną masę; zdaleka wygląda to jak czarny worek wiszący na gałęzi, szerszy u góry a węższy u dołu, albo jak duże winne grono. Pszczo-



ły trzymają się jedna drugiej nóżkami. Moje towarzyski uczepliły się innych; każda podała mi dwie nóżki, przykazując trzymać się ich mocno i nie puszczać. Tak wisiałyśmy z godzinę. Już mnie zaczęło boleć całe ciało od niewygodnego położenia, gdy przyszedł jakiś człowiek w płóciennem ubraniu, i w gęstej drucianej masce okrywającej mu twarz i głowę, a w ręku trzymał plecioną kobiałkę. Człowiek ten zaczął kropić nas wodą, a potem mocno trząść gałęzią do której rój był przyczepiony — i po chwili spadłyśmy w tę kobiałkę, a on nas zaraz nakrył płótnem i zawiązał. Przełęczniona panująca wśród nas ciemnością i hałasem, zaczęłam się pytać moich towarzyszek, co to znaczy i co z nami dalej będzie; ale one uspokoiły mnie, mówiąc, że nie potrzebuje obawiać się żadnego niebezpieczeństwa, i że odbywają się właśnie przenosiny królowej matki wraz z całym jej dworem, do nowego królestwa.

— Nic nie rozumiem — wtrącił Guccio.

— Ja także nie mogłam pojąć tego odrazu, ale pszczoły wyjaśniły mi wszystko. Królowa panowała w bogatym i potężnym ulu, otoczona powszechną czcią i miłością poddanych. Ale gdy następczyni tronu wychowana odpowiednio do swej wysokiej godności, na najpożywniejszych pokarmach, doszła do pełnoletności, królowa ustąpiła jej swego ula, a sama przenosi się do innego, wyszukanego



przez poselstwo umyślnie w tym celu naprzód wysłane, i tam zakłada nowe państwo, czyli nową rodzinę. Dwie królowe nie mogą żyć razem obok siebie w jednym państwie, bo to mogłoby się stać powodem do zamieszkań i buntów.

— Dla czegoż to matka musiała ustąpić miejsca córce?—przerwał Guccio, który w tem widział brak uszanowania i miłości młodszych dla starszych. —Dla czego córka nie szukała sobie innego ula? Jak mogła zgodzić się na taką ze strony matki ofiarę?

— Ja tak samo myślałam—odpowiedziała Joasia — ale pszczołki wytłomaczyły mi, że tak być musiało. Następczyni tronu młoda i niedoświadczona, nie umiałaby sama wszystkiego dobrze urządzić; więc królowa jako troskliwa i kochająca matka, wolała zostawić jej państwo już urządzone w najdrobniejszych nawet szczegółach. Kiedyś ona tak samo ustąpi znowu swojej córce. Taki już porządek rzeczy na świecie, że matki zawsze poświęcają się dla dzieci.

Guccioni przypomniała się jego mateczka i westchnął.

— Opuszczając ul — mówiła Joasia dalej — królowa zwróciła się do dawnych poddanych, pytając, kto zechce jej towarzyszyć do nowego królestwa, i w tej chwili otoczył ją liczny zastęp. A gdy opuściwszy ul rodzinny na zawsze, siadła na gałęzi



jednego z drzew ogrodu, zastęp towarzyszący jej, zbił się przy niej w gęstą masę, jakby tworząc mur żywy dokoła swej władczyni.

— Z ilu też osób składał się ten dwór? — zapytał Guccio.

— Z dwudziestu tysięcy— odpowiedziała Joasia.

-- Ależ to całe wojsko!—zawołał.

— To wystarczyło zaledwie na początek. Człowiek o którym ci mówiłam, że nas strząsnął z gałęzi, przeniósł nas do nowego, wcale jeszcze nie zamieszkałego ula, w którym królowa matka założyła swoją stolicę. Pod jej rozumnym panowaniem, państwo coraz bardziej wzmaga się w siły i teraz jest nas już przeszło trzydzieści tysięcy.

— Czy nie żartujesz ze mnie? — odezwał się Guccio z niedowierzaniem.

— Będiesz mógł wkrótce sam się o tem przekonać, bo powoli zbliżamy się do pasieki. Uli wszystkich jest tam przeszło pięćdziesiąt, więc wszystkie razem pszczoły składają kilkomilionową armiję, jakiej nie może posiadać żadne z ludzkich państw w Europie.

— Czy ja będę mógł obejrzeć jeden ul?

— O czego nie!

— Jeśli tam stoją strażę z wycelowanemi

— Nie bój się niczego. Człowiek pokutu-

jący jest zupełnie bezpiecznym w całym zwierzęcym świecie: idzie o jego poprawę i naukę, nikt mu więc nie szkodzi, ale każdy otacza go pomocą i opieką. Choćbyś był nawet mniejszym od mrówki, nikt się nie targnie na twoje życie.

— Czy oprócz mnie i ciebie, jest więcej ludzi pokutujących?

— Zdarza się od czasu do czasu, że wróżka kogoś zamieni, to w rybkę, to w ptaszka, to w owad jakiś. Ale każdemu da znak wyróżniający go od innych stworzeń tego samego rodzaju, który znaczy to samo, co u ludzi paszport wzywający władze policyjne, do dawania posiadającej go osobie pomocy i opieki, w razie potrzeby. Ty twój paszport nosisz na głowie, a ja mój u pasa.

— Czy ty umiesz także miód nosić? — zapytał Gućio, patrząc na swoją towarzyszkę z ciekawością.

— Umiem — odrzekła — ale nie zawsze używają mnie do tej roboty. Służę za popychadło, a więc cały dzień jestem na posyłkach, albo też spełniam najniższe posługi: czyścić komórki woskowe, ul zamiatać, to są moje codzienne obowiązki. Od rana do nocy jestem na nogach, i niema kiedy odpocząć, chociaż pot się leje ze zmęczenia. Dopiero rozumiem co to jest praca, i ile namęczyła dla mnie ta biedna Maryanna.

— Biedna Joasiu — powiedziała — Biedna Maryanna — z takim współczuciem — jakże ty mi...



szczęśliwą, że cię zmuszają pracować tak bez odetchnienia.

— Prawda, czuję się bardzo nieszczęśliwą, ale nie dlatego że mi każą pracować, tylko z powodu tęsknoty do rodziców i wyrzutów sumienia, za krzywdę wyrządzoną Maryannie. Czy ona mi kiedy przebaczy? czy zapomni?

— Ach prawda — westchnął Guccio — wyrzuty sumienia najwięcej dolegają: one i mnie nie dają spokoju...

Zielona łódka przepływała teraz obok wspaniałych nimf wodnych.

— Zatrzymaj tu swój statek — prosiła Joasia, bo muszę spełnić zlecenie z którem wysłała mnie królowa, a którego z powodu burzy spełnić jeszcze nie mogłam. Nasza Najjaśniejsza pani za wielki przysmak uważa, potrawę przyrządzoną z miodu i pyłku tych pięknych kwiatów wodnych, i oświadczyła, że dziś go mieć chce na obiad.

— To królowa jada taką potrawę?

— Nietylko królowa; wszystkie młode pszczoły ze smakiem ją jadają. Zaczekajże na mnie chwilkę, bo muszę tego pyłku zbierać.

— A w cóż ty go weźmiesz, kiedy nie masz z sobą żadnego naczynia?

— O, mam ja z sobą koszyczki — odpowiedziała — zobaczysz zaraz jak je zaczę napelniać.

— Pewnie je pogubiła w wodzie w czasie bu-



rzy—pomyślał Guccio—i zapomniała o tem. Ciekawym co też zrobi, gdy spostrzeże swoją pomyłkę. Może królowa ukarze ją za to!

Ale Joasia nie troszczyła się wcale o swoją zgubę. Gdy nie wychodziła długo z kielicha kwiatu, Guccio ciekawy jak też sobie radzi, położył wiosło i już chciał udać się za nią, gdy Joasia cała obsypana pyłkiem, wyszła ze środka kwiatu i uniosłszy się nad nim w powietrze, zgarniała z siebie pyłek delikatnymi szczoteczkami, umieszczonemi na przednich i środkowych łapkach, do głębokich wyżłobień czyli koszyczków, jakie miała na tylnych nóżkach. Tam gromadziła pyłki i ugniatała, żeby mózdz jak najwięcej zanieść z sobą do ula. Guccio nie mógł się wydziwić, jak ona takich trudnych rzeczy mogła dokonywać w powietrzu—bo całe jej ciało pracowało, i skrzydełka i nóżki. Joasia nie wiedziała nawet, że ją podpatrują; dopiero gdy już ukończyła zupełnie swoje ładowanie, zobaczyła Guccia.

— Już jestem gotowa — rzekła do niego — spieszymy się teraz, bo Najjaśniejsza pawi może gniewać się na mnie za spóźnienie. Moglibyśmy przelecieć ten kawałek na skrzydłach, ale ja tak lubię płynąć łódką! Dalej, bierz się do wiosła!

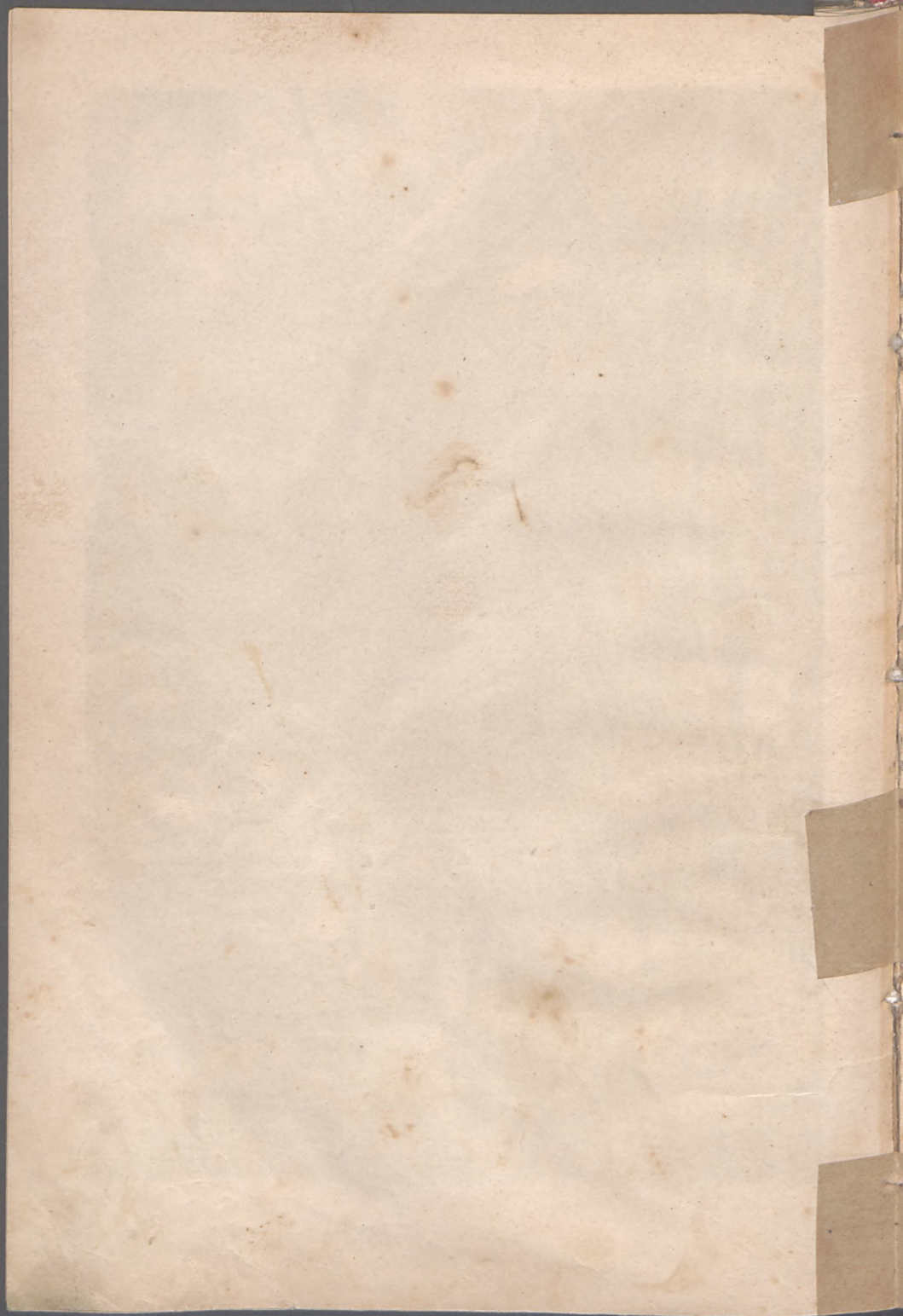
Guccio w milczeniu spełnił co mu kazano, i sterując ku pasiece którą zdala było już widać, rozmyślał nad koszyczkami pszczoły; wydawały mu się one czemś tak cudownem i nadzwyczajnem, jak





w Lit W Głowczawskiego.

Co za prześliczne podwodne stworzenie!





wszystko co od wczoraj spotykał w swej podróży. Nagle wiosło zawadziło o coś w wodzie i łódka zatrzymała się. Guccio się pochylił i wyciągając wiosło do góry, zawołał:

— Co za prześliczne podwodne stworzenie! Patrzno, patrz Joasiu! całe srebrne. Czy to rybka, czy co innego?

I wskazywał wiosłem zwinne stworzenie przesuwające się szybko obok nich.

— Nie znasz go? To jest topnik, jedyny pajak umiejący pływać, i wyborny nurek. Najulubieńszym jego spacerem, jest przechadzka po łodygach roślin podwodnych.

— On jest cały okryty srebrnym płaszczem, Joasiu! Czy on zawsze chodzi tak bogato ubrany?

Księżniczka rozśmiała się.

— Co też ty mówisz! w srebrnym płaszczu topnika niema ani odrobiny srebra; on jest cały pokryty pęcherzem powietrznym. Pęcherz ten trzyma się mocno włosków pokrywających jego ciało, a światło i woda sprawiają, że wygląda jak srebro.

— Czy on przędzie nici tak samo jak każdy pajak?

— Ho, ho, i jak jeszcze! toć to w jego sieci zaplątało się twoje wiosło. Biegły ten tkacz umie także rozmaite sztuki. Wyobraź sobie, że on swemi gruczołkami prządkowemi, mieszczącemi się na końcu ciała, zatrzymuje duże bańki powietrza, unosi je



z sobą pod wodę, osnuwa przędzą w około i przy-  
mocowuje do gałązek, tworząc sobie z tego mie-  
szkanie. O, czy widzisz tam na prawo jego srebrny  
pałac podobny do dzwonu nurków?

— Czy ten nie większy od napařtka?

— Ten sam. Wszedł on w tej chwili do nie-  
go i czatuje na owady wikłające się w sieci, które  
pod wodą porozciągał. Topnik żyje w swoim pała-  
cu bardzo wygodnie: ma czem oddychać, a gdy się  
przedzeniem zmęczy, to się zabawia polowaniem.

— Zkąd ty to wszystko wiesz?

— Czytałam w książkach, a od czasu jak je-  
stem zakłeta w pszczołę, przylatuję tu często po  
pyłki lub słodycze, i przez wodę jakby przez szybę  
szklaną, przypatruję się życiu tego ciekawego zwie-  
rzątka.

Gucio bardzo niemiłego doznał uczucia, że jego  
towarzyszka chociaż „baba“, rozumniejszą była od  
niego.

Zmiana krajobrazu odwróciła myśli jego w inną  
stronę. Znajdowali się w głębi lasu, w samym środ-  
ku wielkiego miasta pszczół. Gmachy drewniane  
na wysokich nogach, stały rzędami wśród zieleni,  
a w koło nich uwijały się tłumy pracowitego na-  
rodu.

— Możesz puścić swój statek na wolę wiatrów  
— rzekła do niego Joasia — bo już przybyliśmy do



celu: ten oto pierwszy gmach z brzeża, to zamek naszej królowej.

Gucio przypatrywał się z ciekawością spadzi-stemu dachowi zamku, bijącemu w oczy zdaleka czerwoną barwą; ścianom niebiesko pomalowanym i obitym słomą z przodu i po bokach; balkońom znajdującym się przy niektórych okienkach, a naj-więcej wysokim nogom na których stał zamek.

— Dziwny kształt — zauważył — wygląda to jakby bocian stojący w trawie. Nie widzę nigdzie bramy, tylko dwa malutkie okienka: jedno u góry, drugie u dołu.

— Jest jeszcze i z boku—odpowiedziała Joasia.—Cóż chcesz! pszczoły nie mogą mieszkać tak samo jak ludzie. Zresztą one mają nieprzyjaciół, więc dla zabezpieczenia od nich, ludzie budują im zamki warowne.

— Pszczoły mają nieprzyjaciół!—powtórzył ze zdziwieniem—a to jakich?

— O! bardzo wielu: myszy, ptaki, osy, motyli-ce, trupie główki.

— Co też ty mówisz! alboż ludzie chodzą po śmierci? Mama mówiła mi zawsze, że nie trzeba wierzyć w takie brednie.

— Ależ to nie duch żaden, tylko ćma szara, nazywająca się tak dla tego, że nosi na grzbiecie żółty znak, podobny z kształtu do trupiej główki. W nocy gdy pszczoły siedzą cicho, wciska się ona

do ula, miód wyjada, roboty im psuje, nawet czasem obiera tam sobie mieszkanie, bo żądło pszczoł nie wnika w jej ciało przez grubą skórę, jaką ma na sobie. To też choćby człowiek porobił większe wejścia do ula, pszczoły zarazby je zamurowały.

— Czy wszystkie pszczoły na świecie mieszka-  
ją w takich zamkach, z kolorowemi dachami i ścianami obitemi słomą?—zapytał Guccio.

— O nie, w każdym kraju mają inne mieszkania; u nas te ozdobne budynki niedawno weszły w użycie. Po większej części pszczoły mieszczą się w wysokich pniach wydrążonych wewnątrz, nakrytych małym słomianym daszkiem i wyglądających jak wieże, albo w dziuplach drzew, po lasach. Te oto budynki które widzisz, są dla pszczoł wygodniejsze, a przez to więcej sprzyjające gromadzeniu miodu. Ale już dość tej gawędki; rozwijaj skrzydła i lećmy!



## XI.

### Królowa daje Guciovi posłuchanie.

---

Wkrótce potem wchodzili oboje na duży, pochyły pomost, wiodący do okienka będącego głównym wejściem. Towarzyszka Gucia cała obładowana pyłkiem, tak była zmęczona, że ledwie szła. Niedaleko okienka nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i ześlizgnęła się na dół; ale mała baryerka otaczająca pomost dokoła, przeszkodziła jej upaść w trawę.

— Ach, jakie też wy baby jesteście słabe! — zawołał Gucio przełknięty. — Pewnieś sobie nóżkę złamała?

— Bądź spokojny, nie mi się nie stało — odrzekła podnosząc się rażno — tylko troszeczkę pyłku rozsypałam. Widzisz, ten pomost i tę baryerkę ludzie umyślnie zbudowali, żeby nam było lżej wchodzić z ładunkiem, i żeby nas zabezpieczyć od



spadania. Bardzo oni pamiętają o wygodach i potrzebach pszczół, za co też potem sowitą w miodzie biorą zapłatę.

U wejścia stało kilka pszczół będących na straży, i te na widok przybywających, wysunęły się ku nim na pomost z wycelowanemi żądlami; ale księżniczka oznajmiła przybycie człowieka pokutującego i prosiła aby go wpuszczono.

Przez chwilę słychać było tylko za okienkiem równy odgłos grubego mrużenia, jakby echo mienienia w żarnach, nareszcie jedna z pszczół ukazała się i wyciągnęła łapkę.

— Podaj swój paszport — szepnęła mu Joasia.

Gucio domyśliwszy się odrazu o co idzie, zdjął swoją czerwoną czapkę i podał przez okienko. Wielka odźwierna obejrawszy czapkę z uwagą, zwróciła mu ją natychmiast, mówiąc, że może wejść. Joasia szła pierwsza, a on za nią, i zaraz na początku dziwny widok uderzył jego oczy: przy okienku stało kilka robotnic wachlujących skrzydełkami tak pracowicie, że na przychodzących żadnej nawet nie zwróciły uwagi! Wachlowanie to, wywoływało lekkie orzeźwiający prąd powietrza. Guccio stanął zdziwiony.

— Joasiu, dla czego one się tak męczą? — zapytał.

— Odświeżają powietrze — odpowiedziała. — Jestto konieczne dla utrzymania zdrowia mieszkań-



ców ula. Chodźże, chodź za mną, nie zatrzymuj się, bo i tak już bardzo się spóźniłam.

Obejrzawszy się jeszcze kilkakrotnie na wachlujące pracownice, Gucio szedł za Joasią, która prowadziła go wązkim korytarzem, przez cały szereg arkad sztucznie pokrzyżowanych.

— Powiedz mi, dlaczego te korytarze są tak ciasne, że ledwie można się niemi przecisnąć? — zapytał znowu swojej przewodniczki.

— Żeby trupia główka, która jest bardzo gruba i opasła, nie dostała się do ula. Zostań tu tymczasem, Guciu: pójdę do królowej i poproszę o posłuchanie dla ciebie.

To powiedziawszy oddaliła się.

Długa chwila upłynęła, zanim Gucio oswoił się z panującą w ulu ciemnością, i zdołał rozróżnić znajdujące się w nim przedmioty. Stały tam plastry miodowe niby ściany, oddalone od siebie na szerokość małego palca; wiele komórek w ścianach było wypełnionych i pozamykanych woskowymi pokrywami, a wiele próżnych, przygotowanych dla mającego się z pola przynieść miodu. Przypatrując się temu, Gucio dziwił się równości komórek i jednostajnej grubości ich ścianek. Zdawałoby się, że nauka rozmierzania i budowania jest pszczołom doskonale znana.

Koło niego tłumno było i gwarno: pszczoły pracowały jak robotnicy w fabryce. Jedne znosiły



materyały: pyłki kwiatowe w koszyczkach, słodki soki kwiatów w żołądku, a na łapkach sok lepki żywiczny, którym zalepiały szpary i otwory niepotrzebne; inne czyściły i porządkowały—inne jeszcze pomagały swoim siostróm zdejmować z koszyczków i ze skrzydeł pyłek, którym tamte były obładowane. W jednej stronie pomiędzy tłumem skrzętnych robotnic, wszczął się hałas i wołanie jakby na trwogę: Gucio rozumiejący języki wszystkich stworzeń, jakie tylko spotykał od chwili swego zaczarowania, dowiedział się, że plaster jeden począł się obsuwać i grozić obaleniem. Natychmiast pszczoły złożyły naradę, zaczęły znosić materyały, i zabrały się do budowania słupów, arkad i podpórek. Na Gucia, zdawało się że nikt nie zważa, jakby go nie było—ale on zważał na wszystko i czuł się zawstydzony widokiem pracowitości drobnych owadów.

Jedna zwłaszcza pszczołka bardzo go zajęła. Z początku zdawało mu się, że ona nie robi; ale przyjrząwszy się jej baczniej zauważył, że z pomiędzy obrączek jej ciała wydziela się biała przezroczysta łuszcza. Zdziwiło go to bardzo, i gdy jego przyjaciółka Joasia wróciła, wzywając go do królowej, wyjawiał jej powód zdziwienia, pytając co to ma znaczyć.

— Ona wosk robi—odpowiedziała.

— Wosk? Czyż wosk nie zbiera się z kwiatów tak samo jak miód?



— Gdzie tam! wosk jest to poprostu tłusty pot, który pszczoła z siebie wydziela w postaci łuszczyki; łuszczyka ta zmieszana ze śliną pszczoły, jak naprzykład glina z wodą, jest właśnie tym materiałem z którego budują się plastry z komórkami. To tylko słodycz i pyłek zbiera się z kwiatów. Ale królowa matka nie może czekać! Chodźmy już, chodźmy! Po skończonem posłuchaniu oprowadzę cię po ulu i wszystko pokażę.

— Dla czego nazywacie ją matką?—pytał Guccio, którego wszystko dziwiło.

— Bo ona jest prawdziwą matką całego rodu; ona jedna znosi jajka z których wylęgają się później pszczoły robocze. Nie myśl, że królowa pędzi próżniacze życie: dużo się ona namęczy zanim zniesie przeszło tysiąc jaj dziennie i każde umieści we właściwą komórkę.

Guccio postępował w milczeniu za swoją towarzyszką, między ścianami plastrów—i gdy kilka minęli, zobaczył kratę metalową sięgającą od góry aż do dołu, a Joasia objaśniła go, że ta kratka właśnie przegradza mieszkanie królewskie od reszty budynku.

Mieszkanie to nie odznaczało się niczem nadzwyczajnem. Takie same tam znajdowały się ściany plastrowe, tylko w komórkach mało było miodu; zapełniało je za to co innego; w jednych leżały jajeczka tylko co zniesione, w postaci małych białych



niteczek, w innych widać było zwinięte w kłębek robaczki białe także, leżące nieruchomo, jakby śpiące—i do tych zaglądały raz po raz pszczoły, niosąc im pożywienie; inne jeszcze komórki pozamykane były ciemnymi wypukłymi pokrywami.

Jej Królewska mość siedziała poważnie u góry na plastrze, otoczona licznym dworem, baczny na każde jej skinienie, a jedna mała pszczołka podawała jej trąbką pożywienie. Okazała postawą i wzrostem, królowa tak bardzo różniła się od innych pszczoł, że od pierwszego rzutu oka można w niej było poznać monarchinię. Strój też okrywał ją bogatszy, odpowiedni piastowanej przez nią godności. Pierścienie brzuszka miała złocisto ubarwione, a łapki delikatne, bursztynowe, ale bez koszyczków i szczyteczek—te bowiem nie były jej wcale potrzebne, jako nigdy nie robiącej wycieczek na kwiaty po słodycze. Po komnacie przechadzała się poważnie jakaś dostojna osobistość, odznaczająca się także wzrostem, dorodnością postaci i różkami na głowie, większemi niż miały wszystkie inne pszczoły. Osobistość ta spostrzegłszy wehodzącego Gucia, jakby wstydząc się swojej bezczynności, podjęła z ziemi cieniutką długą słomkę i stanęła z nią przy kracie, pełniąc niby obowiązki marszałka dworu.

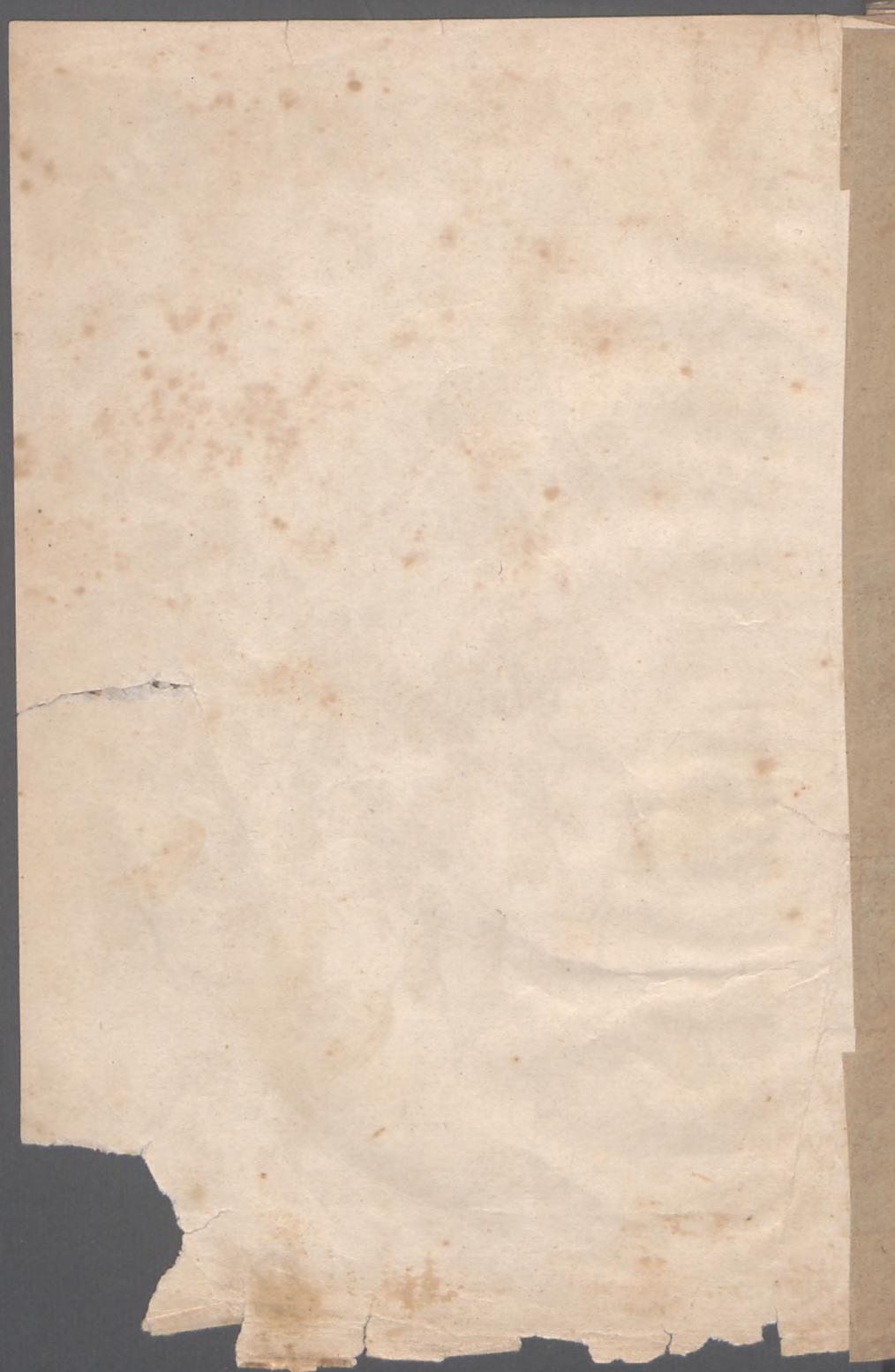
— Kto jest ten jegomość? — zapytał po cichu Gucio swej przewodniczki.

— To książę Truteń, syn królowej: on i jego





Królowa daje Guciovi posłuchanie.





bracia, których jest kilkuset, dotrzymują towarzystwa Najjaśniejszej Pani. Ale cicho bądź, bo ona teraz na nas patrzy.

Jej Królewska Mość obtarłszy pyszczek, odprawiła służebną pszczołkę majestatycznym ruchem, i zeszła ku dołowi. Utopiwszy bystre spojrzenie swych pięciu ócz w Guciu, który z pewną nieśmiałością postępował ku niej, przemówiła zwracając się do Joasi:

— Czy to jest ów człowiek pokutujący, o którym mi opowiadałaś?

— Tak jest Najjaśniejsza Pani — odpowiedziała — i trącając Gucia, szepnęła doń: — Odezwiż się! stoisz jak niemy. Co królowa o tobie pomyśli!

Gucio zdjął czerwoną czapeczkę i obracając ją w łapce, rzekł jaskając się trochę.

— Chciałem prosić Waszej Królewskiej Mości o pozwolenie zwiedzenia całego ula.

— I owszem — odrzekła łaskawie — znam twoją historję chłopcze i wiem, że masz wrodzony wstręt do pracy.

Gucio spuścił głowę.

— Może nauczysz się ją szanować i cenić, tak jak się nauczyła twoja przyjaciółka Joasia, gdy się rozpatrzysz w urządzeniach naszego państwa. Joasiu, oprowadź gościa i pokaż wszystko co tylko może go interesować: nasze zapasy, warsztaty, zakłady



wychowawcze, a nie zapomnij przytem poczęstować go miodem.

To powiedziawszy, Jej Królewska Mość dała znak łapką, że posłuchanie skończone i odeszła w górę ze swoim orszakiem. Joasia miała nadzieję, że się ono przeciągnie dłużej; ale upał na dworze był straszny, gorąco w ulu trudne do zniesienia, więc monarchini skinęła na swoje damy honorowe, a te spuściwszy się na sam dół ula, rozpostarły skrzydełka i zaczęły niemi wachlować w taki sam sposób, jak tamte które Gucio widział przy wejściu. Ożywczy prąd świeżego powietrza dochodził aż do królowej.

— Jakież wrażenie zrobiła na tobie królowa matka?—spytała go Joasia, gdy się nieco oddalili.

— Przyznam ci się — odrzekł z pewnem zakłopotaniem, że wszystko co tu widzę, jest dla mnie zupełnie nowe. Jak żyję, nie widziałem nigdy żadnego króla inaczej jak na obrazku, i to byli wszystko ludzie z wężami i koronami na głowach—ale żeby owady rządziły poddanymi, to mi się wydaje tak dziwnem...

— Królowa nie rządzi tylko panuje, bo gdzie jest zgoda i miłość wzajemna, gdzie każdy obowiązeki swoje spełnia, tam wszelki rząd jest zbyteczny. Pszczoły robocze nie uważają się za poddanych, tylko za dzieci, a królowę otaczają wygodami, czcią i miłością, jako matkę rodu.



— Dla czego książę Truteń ma taką smutną minę?

— A, bo wie że niezadługo pójdzie na wygnanie.

— Na wygnanie? cóż on takiego zrobił? Czy spisek uknuł na życie królowej, czy może buntował pszczoły, albo wszedł w stosunki z nieprzyjaciółmi państwa?

— O nie, tylko widzisz on nie lubi pracować, więc przez lato, gdy w ulu jest dużo miodu, pszczoły go żywią; ale gdy zima nadchodzi i w spiżarniach trzeba zaprowadzić pewne oszczędności, wtedy książę zmuszony jest opuścić państwo, w którym jest tylko próżnym ciężarem. Jeżeli się wzdraga, pszczoły go zabijają.

— Ależ to jest okropne!—zawołał ze zgrozą.

— Nie, to jest tylko sprawiedliwe, próżniak bowiem nie wart żyć na świecie. On sam to czuje, i ilekroć ktoś obcy wejdzie do ula, książę udaje zawsze że coś robi.

Krew uderzyła do głowy Gucia tak gwałtownie, że myślał iż go zaleje. „Próżniak nie wart żyć na świecie“... okrutny ten ale sprawiedliwy wyrok, wgryzał mu się w mózg i w serce. Zdawało mu się, że ściany ula zawała się i zgniotą jego wątłą postać swoim ciężarem, albo że zginie taką samą śmiercią, jak książę Truteń. Był próżnym ciężarem tylko dla swoich rodziców, i sam się dziwił, że Bóg pozwolił mu żyć do tej pory. Jakże ten dobry Bóg



był cierpliwym, że czekał na jego poprawę dotąd; jakże dobrymi byli rodzice, że go dotąd nie wypędzili z domu!

— Co ci pokazać najprzód — pytała go przewodniczka — może komórki w których wychowują się młode pszczołki? One są tutaj.

— Dobrze — odrzekł machinalnie — nie przestając porównywać siebie z księciem.

— Patrz—mówiła Joasia pokazując mu cały szereg:—oto są komórki w które królowa matka przed trzema dniami poskładała jajka. Z nich wylęgają się gąsienniczki, ale nie wychodzą z komórek, bo pszczoły robocze karmią je smacznem, pożywnem mleczkiem, przyrządzonem z przetrawionego we własnych ich żołądkach pyłku kwiatowego, wody i miodu. Po ośmiu dniach gąsienniczki oprzędają się cieniutką i jak śnieg białą tkaniną, w której wyglądają jak w koszulkach, i w poczwarki się zamieniają — a pszczoły robocze zalepiają ich komórki woskiem. Zamknięcie to trwa dwanaście dni, poczem poczwarka w pszczołę przemieniona, pragnie wydostać się z zamknięcia. Ale uważaj tylko: czy słyszysz ten szmer tu obok?

— Słyszę — odpowiedział — co to jest?

— Cicho bądź i uważaj.

Gucio był posłusznym: milczał i nie spuszczał oka z komórki, z której szmer wychodził. Po chwili w komórce zrobił się otworek tak mały, jak od



ukłucia szpilką, a w nim ukazały się malutkie kleszczyki pracujące nad rozszerzeniem go. Z każdą chwilą otworek powiększał się, poczem wysunęły się przezeń dwie cieniutkie łapki. Następnie łapki te uchwyciły się silnie brzegów komórki, zrobiły ostatnie wysilenie, i wyszła z więzienia młodziutka siwa pszczołka, cała opylona. Skrzydełka jej były zmięte, a ona sama z osłabienia zaledwie się trzymała na nogach. W tejże chwili przybiegły dwie pszczoły robocze, zaczęły ją całować, oczyszczając z pyłu, prostować skrzydełka, nakarmiły świeżym miodem i zabrały z sobą.

— To pewnie guwernatki! ale gdzie one ją prowadzą?—pytał Guccio.

— Do innych młodych pszczołek, jej siostrzyczek, które zajmują się łatwiejszemi pracami domowemi. Za dni kilka będą ją uczyły latać.

— A te wielkie komory owalne, kształtu jajowatego, co to jest?

— To są mateczniki: w nich pszczoły robocze troskliwie o następstwo tronu, w razie zgonu królowej lub przeniesienia się przez nią, z częścią pszczoł do innego państwa, przysposabiają matki. Umyslnie budują im duże komórki, aby gąsienniczki mając więcej miejsca, lepiej się rozwinęły i uzdolniły do znoszenia jajek w wielkiej ilości. Z tego też względu, królowny bywają najlepszą i najposilniejszą potrawą karmione.



— Czy pszczoły robocze nie znoszą wcale jajek?

— Nie. Chodź teraz zobaczyć nasze zapasy. Znajdują się one w górze, najbliżej dachu.

I poprowadziła go ku górze: komórki tam były dłuższe, plastry grubsze, a przejścia między niemi węższe.

— Patrz — mówiła wskazując łapką — oto są różne gatunki miodu: ten ciemny jest wrzosowy, ten jaśniejszy gryczany, ten biały akacyowy, ten zaś zielonawy pochodzi z lip i rzepaków.

— Czy pszczoły z każdego gatunku kwiatów osobno słodycz zbierają? — zapytał Guccio.

— O nie! zbierają z takich, jakie po kolei napotyka; ale miód nabiera tego lub owego smaku od kwiatów, jakich więcej bywa kwitnących w tej lub owej porze. Któregoż chciałbyś skosztować?

— Sprobuję lipowego — odrzekł po namyśle; — słyszałem że ma być najsmaczniejszy.

Joasia otworzyła jedną komórkę i Guccio zaczął wsysać trąbką wyborny gęsty miodek. Gdy zaspokoił pierwsze pragnienie, pszczołka zalepiła komórkę a otworzyła akacyową, zachęcając go także do skosztowania. Tak kolejno próbując wszystkich gatunków miodu, zachwycał się jego przedziwnym smakiem i zapachem, dziwił się licznym odcieniom barw i czystości tego przysmaku.

— Prawda Joasiu, że ludzie krzywdzą pszczoły zabierając im miód, nagromadzony z taką pracą i trudem?



— Ale gdzież tam! pszczoły nigdy nie zdołałyby spotrzebować dla siebie tego wszystkiego, co nagromadzą. Człowiek zabiera tylko to, co jest zbyteczne, i należy mu to się słusznie, za opiekę jaką nad pszczołkami rozciąga. On buduje ule, on je czyści, on też i karmi czasem pszczoły, jeżeli miodu zabraknie; on je leczy jeżeli chorują.

Zajęci kosztowaniem miodu i rozmową, nie zauważyli, że strażę pilnujące wejścia dały znak trwogi cieniutkiem piszczeniem; dopiero gdy w ulu zrobił się ruch ogromny, gdy pszczoły przełęknięte zaczęły biegać, wołając: „nieprzyjacieli! nieprzyjacieli!“ spostrzegli, że jest jakieś niebezpieczeństwo.

— Co się stało? — zapytał Guccio swojej przewodniczki, cisnąc się za innemi w korytarz, i widząc zdaleka, że strażę potroiły się u wejścia i wycelowały swoje żądła, jako broń.

— To pewnie żoła—odpowiedziała Joasia — chodźmy bliżej, to zobaczymy.

Nieprzyjaciela nie było i nie mogło być w ulu; taki duży ptak nie zmieściłby się w żaden sposób przez ciasne okienko. To też nie kusił się nawet o to. Obrął sobie stanowisko na pomostku, a przez otwór wsunął tylko swój długi, lepki język, szukający miodu.

Cały oddział pszczół zatopił żądła w tym języku, ale o zgrozo! język zabrał żądła razem z pszczołami, które ani się spostrzegły, jak je wciągnął

do gardła, z kąd się dostały do żołądka ptaka. Po chwili znowu język ukazał się w otworze.

Zniknięcie walecznych obrońców, wznieciło nie-mały popłoch w reszcie mieszkanek ula. Nastąpił chwilowy odwrót z placu boju i wielka narada wojenna; ale zanim powzięto jakiegokolwiek postanowienie, rozległ się strzał, od którego aż ściany ula się zatrzęsły. Wejście do niego zostało nagle odsłonięte, i coś ciężkiego spadło na ziemię.



## XII.

### Gucio rozstaje się z księżniczką.

---

Gucio wiedziony ciekawością, wybiegł wraz z innymi przez okienko na pomost i ujrzał na ziemi ślicznego ptaka — strojnego w pierze żółtawo-zielone, w ponsowy czubek na głowie i także podbrzusze — broczącego we krwi. O kilkanaście kroków dalej stał młody wieśniak w płótniance i dużym słomianym kapeluszu, z dymiącą jeszcze strzelbą w ręku. Guccio domyślił się w nim pasiecznika.

Pszczoły tłumnie otoczyły dogorywającego nieprzyjaciela, który już przestał być dla nich niebezpiecznym. Oglądały go, siadały mu na głowie, latały dokoła, brzęcząc złośliwie i jakby usiłując mścić się za przeszkodę w pracy, zakłócenie im spokoju i pożarcie towarzyszek.

Ptak nie mający już siły do obrony, musiał znosić te wszystkie przykrości. Nareszcie spojrzął żalonym wzrokiem na słońce, wyciągnął się i skonał... Guciovi aż słabo się zrobiło od tego widoku.

— Za chwilę tu pewnie zjawią się grobarze — rzekł do Joasi. — Widziałem już dziś jeden pogrzeb, na drugim być nie chcę. W ulu też widziałem już wszystko co było do widzenia, pójdę więc w dalszą drogę; podziękuj w moim imieniu królowej za jej łaskę i gościnność. Gdybym wiedział że tutaj mogę ci się na co przydać, zostalibyśmy chętnie, ale ty sama powiadasz że ci nic nie zdołam pomódz.

Przekonanie że niepotrzebny jest Joasi, przykrem było Guciovi; miał bowiem w sobie niemało rycerskiego zapału, i gdyby mógł odegrać rolę bohatera, byłby rad bardzo.

— Widzę ze wszystkiego, że jesteś poczciwym chłopcem — odpowiedziała — ale sam rozważ, na co ty mnie przydać się możesz? Nie masz koszyczków na tylnych nogach, więc mi pyłków i żywicy nosić nie pomożesz; mleczka dla królowej matki i dla małych dzieci nie umiałbyś też przyrządzać, bo jesteś inaczej zbudowany; nie masz naczynia do noszenia miodu, jak my wszystkie. Nie masz kleszczyków któremi mógłbyś budować komórki woskowe, zlepić kitem żywicznym szpary i wykonywać tysiączne roboty, jakich wymaga utrzymanie porządku w ulu, jak naprzykład wnoszenie



nieżywych pszczół, oczyszczanie komórek, wyrzucanie śmieci. Powiedz sam, czybyś to mógł robić? Naturalnie że nie, bo nie jesteś pszczołą. Widzisz więc, że nie masz po co dla mnie tu zostawać, bo w niczem nie polepszyłbyś mego losu. Z początku bardzo płakałam i rozpaczałam, ale widząc że to nie nie pomoże, dałam pokój. Muszę cierpieć pokutę, dopóki wróżka sama mnie od niej nie zwolni. Czy chcesz żebym cię odprowadziła za pasiekę?

— Byłbym ci bardzo wdzięczny...

Polecieli razem przez gęstwinę lasu, aż do drogi na której widać było głębokie ślady wozów.

— Tutaj muszę się z tobą pożegnać — rzekła ze smutkiem Joasia — życzę ci żebyś był szczęśliwszym odemnie... to jest... żeby twoja pokuta skończyła się prędkiej.

Głos jej zadrżał i łzy rzęsiste popłynęły z oczu.

— Biedna Joasiu — rzekł Guccio wzruszony — twoja służba musi być bardzo ciężką!

— Ach! nie o to mi idzie, wierzaj mi. Choćbym musiała dziesięć razy więcej pracować, nie czułabym się jeszcze nieszczęśliwą, bo widzę że człowiek o tyle tylko jest coś wart, o ile jest innym użyteczny. Ale to mnie dręczy, że tak długo nie mogę przeprosić Maryanny za wyrządzoną jej krzywdę. O Boże! jakże ciężko jest żyć z grzechem na sumieniu!



Gdy to mówiła, z pomiędzy drzew wysunęła się wysoka postać okryta czarnym jak noc, mieniającym się iskrami płaszczem, z pod którego wyglądały siwe kosmyki włosów. Twarz miała od starości pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy patrzące przez wierzeh tych okularów, jaśniały nadzwyczajnym blaskiem, a takie były przenikliwe, że wzrok ich trudno było wytrzymać. W ręku trzymała złotą laseczkę.

— Wróżka! Wróżka! — zawołali oboje razem, a serca ich zbolełe i znękane uderzyły nadzieją.

— Słyszałam twoje słowa — rzekła do Joasi głosem poważnym i uroczystym—i widzę, że twój charakter uległ ważnej zmianie. Pszczoły nauczyły cię rozumu i sprawiły, że możesz powrócić do ludzi. Wracaj do matki, która tęskni za tobą, i sercem staraj się wynagrodzić krzywdę, wyrządzoną przywiązanemu do ciebie sercu Maryanny.

Wyciągnęła rękę i dotknęła laseczką głowy pszczołki. W tejże chwili zniknął mały skrzydlaty owad, a na jego miejscu Guccio ujrzał śliczną ośmioletnią dziewczynkę, w różowej muślinowej sukience. Jej biała, delikatna twarzyczka otoczona była ciemnymi włosami, a oczy błyszczały radością. Chciała dziękować wróżce, ale już jej nie było. Nagle krzyknęła z radości. O kilka kroków przed nią, na drodze, stał piękny otwarty powóz, a zaprzężone do



niego siwe konie rwały niecierpliwie piasek kopytami. W głębi powozu siedziała kobieta średnich lat i wyciągała do niej ręce z czułością. Była to księżna. Joasia zapomniała o wróżce, o czarach, o Guciu, o wszystkim; pobiegła coprędzej i wskoczyła do powozu. Stangret palnął z bata, koniki ruszyły z miejsca, i po chwili z całego widowiska został tylko tuman kurzawy.

Gdy wszystko zniknęło, Guciovi serce ścisnęło się boleśnie.

— Ach wróżko! dobra wróżko! — wołał rozpaczliwie—wróc się, wróc i zdejm ze mnie czary, tak jak je zdjęłaś z Joasi! I ja też nauczyłem się czegoś i przysięgam, że się poprawię zaraz, natychmiast, nie odkładając już do pierwszego. Ja tak dawno nie widziałem mateczki, ojca, Helusi... tyle wycierpiałem! O! litości, litości!

Czarna wysoka postać w płaszczu mieniącym się iskrami, jakby zmiękczona namiętными prośbami chłopca, stanęła znowu przed nim.

— Twój czas nie nadszedł jeszcze — wyrzekła uroczyście i zniknęła, a z nią razem ostatnia nadzieja biednego pokutnika.

Łzy rzuciły mu się z oczu. Długo tak stał pograżony w boleści, nie wiedząc w którą zwrócić się stronę, bo czy uda się w prawo, czy w lewo, wszystko jedno, zawsze będzie jednakowo nieszczęśliwym.



— Joasia jednak miała więcej mężstwa odemnie—rzekł do siebie po chwili — bo ona umiała się godzić ze swoim losem. Miałżebym ja być słabszym od baby? Nie, za nic w świecie!

Obtarł oczy kosmatemi łapkami, do których się już o tyle przyzwyczaił, że nie budziły w nim takiego wstępu jak z początku, i tłumiąc łzy, podniósł oczy w niebo jakby je brał na świadka, że pragnie być prawdziwym mężczyzną.

W lesie było gwarno i wesoło, ptaszki wyśpiewywały na wszystkie tony. Sikorki wieszały się na cieniutkich gałązkach brzeziny i huśtały, jaskółki gonily w powietrzu owady. Dzieciół przelatywał z drzewa na drzewo i opukiwał je, jak doktor badający chorego; a którego dźwięk wydawał mu się podejrzany, zaraz w jego wnętrzu szukał poczwerek będących ulubionym jego przysmakiem. Wszystko było jakąś robotą zajęte i śnać nie przykrzyło jej sobie, bo krzątało się żwawo i śpiewało przytem radośnie. Gucio, któremu odgłos tego wesela był przykrym, bo nie mógł go podzielać, przeleciał ponad lasem i ujrzał przed sobą pole, drogę wysadzoną wierzbami, cmentarz rozłożony na wzgórzu, wieżę kościółka, dwór i gromadę chat wieśniaczych rozrzuconych malowniczo w dolinie. Widok ten dobrze mu był znany: znał każdą chatę i wiedział do kogo należy, a tą drogą wierzbami wysadzaną jeź-



dził często na spacer, na swoim siwo-jabłkowitym koniku.

Wieśniak jakiś orał właśnie pole pod ozime zasiewy: dwa piękne, czerwone woły ciągnęły pług krający ziemię w równiuteńkie pasy i odkładający na bok skibę za skibą. Wieśniak pośpiewywał sobie, i idąc obok pługa raz po raz klepał woły przyjaźnie po karku. W ślad za pługiem postępowała gromada ptactwa. Najprzód na wysokich czerwonych nogach, poważnie kroczył bocian i swoim ostrym, długim dziobem, wyławiał z ziemi gąsiennice chrabaszczów, które świeżo odrzucona skiba na wierzch wyrzucała, a które przez trzy lata w tej postaci pozostając w ziemi, podgryzały korzenie roślin. Za bocianem wrony, kawki, gawrony, skowronki, pliszki, całemi stadami dreptały i skakały po parującej wilgocią roli, wyławiając także gąsiennice i robaki.

— Ptaszki pomagają peczciwemu Walentemu — rzeki do siebie Gucio, i siadł na wysokiej grudce ziemi, przypatrując się polowaniu skrzydlatych robotników.

Ale wkrótce spostrzegł coś, co całkowicie pochłonęło jego uwagę. Z ziemi, przesiąkniętej nawskroś obficie przed dwiema godzinami padającym deszczem, wychodziły gromadki glist ziemnych i ruszały się z niepojętą żwawością, jakby zabierając się także do roboty.



Gucio widywał nieraz glisty, gdy je chłopcy wiejscy idący z wędkami na ryby, brali z sobą na przynętę i zatykali na ostrze haczyka; ale nigdy nie przyszło mu do głowy, przyjrzeć się temu niepojętnemu stworzeniu. Teraz zobaczył ze zdziwieniem, że one nie mają ani nóg, ani oczu. Zaciekawiony co też takie kaleki robić mogą, zaczął je bacznie śledzić. Z zajęciem przypatrywał się różowawemu, przezroczystemu ciału robaczka, składającemu się z mnóstwa obrączek, kurczących się i rozciągających nieustannie bardzo żwawo. Glisty szukały liści wilgotnych, przegniłych, i zręcznie je wciągały do swoich podziemnych kryjówek. Guccio nie pojmował, jak one, nie mające przecież oczu, mogły wynajdywać listki. Czyżby Bóg obdarzył je jakim odrębnym, zastępującym wzrok zmysłem pomocniczym?

Zdziwienie jego jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzał glistę połykającą ziemię, za pomocą maleńkiego pyszczka. Uczuł w sercu wielką litość nad robaczkami jedzącymi rzeczy tak niestrawne.

— Biedne robaczki, co wy robicie! — przemówił serdecznie — nie jedzcież ziemi, bo się wszystkie pochorujecie!

Robaczki jak pracowały schylone, z pyszczkami zanurzonemi w ziemię, tak wszystkie popodnosiły łebki i słuchały; nareszcie jeden przemówił



głosem cichym, podobnym do najłżejszego westchnienia wiatru.

— Tyś pewnie człowiek pokutujący w postaci owada, skoro cię to dziwi, bo wszystkie muchy wiedzą dla czego to robimy. Spójrzj na ziemię, w miejsca tylko co opuszczone przez nas, i powiedz co tam widzisz?

— Widzę ziemię w postaci małych cieniutkich sznureczków, nie dłuższych od was — odpowiedział.

— Otóż widzisz: każdy taki sznureczek przejdzie przez nasze ciało, i w żołądkach naszych razem z przegnilymi liśćmi przetrawiony został. Jesteś pewnie na to dość rozsądny, żeby zrozumieć, że takie ustawiczne przepychanie ziemi przez cienkie woreczki, rozmięcza ją i rozdrabnia. Tym sposobem spulchniamy i przesiewamy ziemię, przeraabiamy jałową na rodzajną i uprawiamy lepiej od najlepszych narzędzi rolniczych. Przytem wędrując ustawicznie z góry na dół, ściągamy w głąb zwierzchnie warstwy, a spodnie wyrzucamy na wierzch.

— Jakto! — zawołał Guccio w najwyższym zdumieniu — więc i wy pracujecie, wy, najnędzniejsze, najwięcej upośledzone od natury stworzenia, wy, kaleki, ślepcy i bez nóg?...



— Jakże chcesz żebyśmy nie pracowali? em,  
 Wszystko co żyje na świecie, pracować musi. My e ż  
 jeszcze nie jesteśmy najmniejszymi robotnikami c k  
 w służbie u Pana świata; są istoty tak małe, że je- i. j  
 dno ziarnko piasku jest dla nich tem, czem dla cie- jąc  
 bie największa góra. A i te jeszcze nie żyją bez yzs  
 użytecznie, ale mają swoje sprawy i swoje cele, ch ka  
 wiemy, że ludzie nie zdołali jeszcze celów tych ob  
 zgadnąć ni zbadać, bo małość owych istotek wy- zd  
 ka się ludzkiemu wzrokowi. rze  
 d

Gucio uczuł zawrót w głowie.

Robaczek opowiadał mu jeszcze, jak na ziemi e  
 zakopuje się głęboko na kilka łokci pod ziemię, jak le  
 wygniata tam sobie jamkę wygodną—wybrukowaw- stni  
 szy ją wprzód gruzem lub drobnymi ziarneczkami wyło  
 zwiru —i odpoczywa dopóki pierwsze odgłosy wio- wiel  
 sny nie wezwą go do pracy. Mówił że w polu na ka  
 każdym stu łokciach kwadratowych ziemi, pracuje nch  
 ich do pięćdziesięciu tysięcy, a w ogrodach trzy ra- st  
 zy więcej; że przenosząc ustawicznie ziemię z wierz- pr  
 chu pod spód i ze spodu na wierzch, pokrywają po- ale  
 woli kamienie i rumowiska rozsypane po polach, bł  
 a nawet wielkie głazy i budynki. Wiele jeszcze, wi  
 wiele zajmujących rzeczy mówił mu robaczek o swo- ono  
 jem życiu, ale Guccio nic z tego wszystkiego nie sły- wie  
 szał. W uszach dźwięczały mu ciągle te wyrazy: zes  
 „Są istoty tak małe, że ziarnko piasku jest dla nich si



em, czem dla ciebie największą górą, a i te jeszcze żyją bezużytecznie..." i serce jego przejęte zostało drzeniem bojaźni w obec tej niezmiernej, nie mijającej się obliczyć małości, która jednakże miała wyższość nad nim...

W wędrówce swojej, od dnia wczorajszego spokał różne istoty: kreta, wróbla, słowika, muchę, obarza, pająka, pszczołę, glistę, i przy poznaniu każdej czuł się coraz mniejszym, coraz więcej uporzonym. Każde z tych stworzeń rzuciło mu duszę drobnym promyczek, ale teraz oto nędzny robaczek, resztę bielma zdjął z jego oczu. Na to światło rozświeciło jego umysł: wszystko co stało na świecie, na co spojrzął, czego się dotknął, było użyteczne. Cała natura pracowała. Jeden wielki łańcuch łączył wszystkie stworzenia świata, każde pojedynczo było ogniwem, bez którego łańcuch obejść się nie mógł. Każde z osobna odrabiało swoją robotę, i za to miało prawo korzystania z pracy innych. On jeden, chociaż człowiek i nie aleka, był próżniakiem nieużytecznym... Nawet błoki unoszące się nad ziemią, dawały jej cień i wilgoć; słońce i księżyc także nie próżnowały, bo ono rozlewało w dzień ciepło i światło, a on przywiewał w nocy. Sam Bóg chociaż Pan świata, przez sześć dni pracował, jak powiada Pismo Święte, siódmego dopiero odpoczął.



Upokorzony głęboko, przygnieciony ogromną siłą którą widział i czuł dokoła siebie, a która nazywała ruchem i pracą, upadł na kolana.

— O Boże!—zawołał wznosząc oczy ku niebu jakże jesteś wielki w dziełach Twoich, i jakże jest nieskończenie dobry, że dotąd trzymasz mnie w tym świecie, przenikniętym na wskroś pracą wszystkich stworzeń O Ty! który uczysz śpiewać ptaki, ubierasz kwiatki i każesz ziarneczkom zboża rastać w kłosa, ulituj się nademną i pozwól aby został znowu człowiekiem... Dozwól abym jak wszystkie Twoje stworzenia, mógł wziąć się także do pracy. Brzydzę się mojem próżniactwem, chcę pracować i być użytecznym. Niech i ja też czemś będę. Pracy! pracy daj mi o Boże!

— Poszukaj jej sobie sam — szepnął mu jał głos wewnętrzny.

Tak, Guccio czuł że nie powinien czekać aż mu praca w ręce wpadnie, ale sam iść na jej spotkanie. Gdyby był znowu człowiekiem, wiedziałby do czego się wziąć, ale jak ma pracować drobna, nie znacząca muszka? Ach! już wie: będzie rozno pyłki kwiatowe, jak ta mucha ciemno-brunatna z którą dziś rano zabrał znajomość w pałacu lilijowym, i która mu odkryła tajemnicę nasionek kwiatowych.

Obejrzał się: o kilkanaście kroków dalej, cała ścieżka pokryta była pięknymi blado-różowymi kwiatami.



mi gryki. Tam poleciał i pracował bez odpoczynku przez całe dwie godziny, jak mu się zdawało, wytrząsając pyłek z woreczków zawieszonych na pręcikach i przenosząc go na inne kwiaty—aż zmęczony, zlany potem, cały obsypany jakby żółtą mąką, przestał na chwilę, żeby odpocząć i sił nowych zaczerpnąć.

---

### XIII.

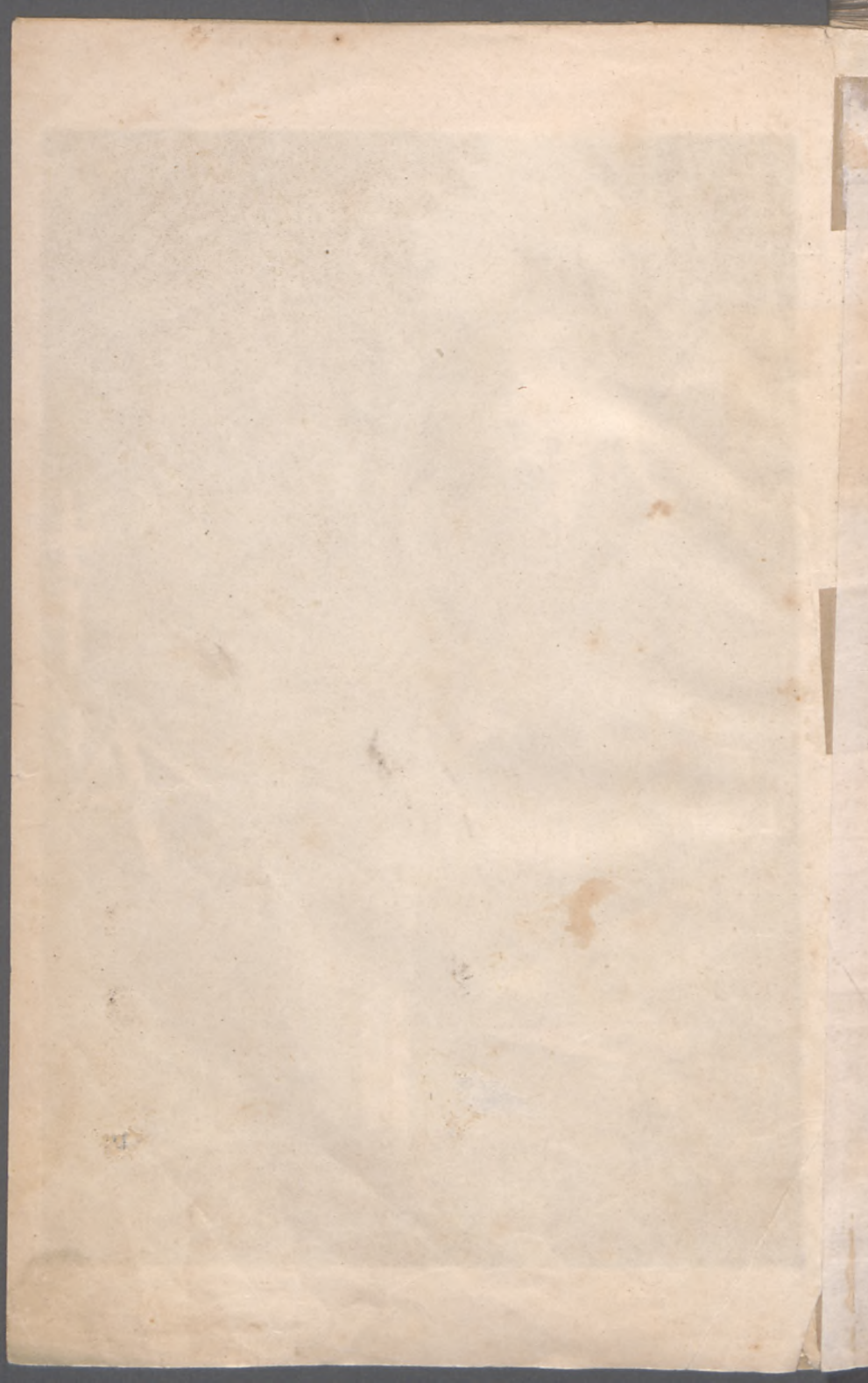
## Gucio dowiaduje się gdzie jego matczka chodziła często na spacer.

Odgłos kroków w pobliżu dał się słyszeć. Obejrzał się; to siostra jego Helusia biegła prędko przez pole, skacząc z zagona na zagon. Miała na sobie tę samą sukienkę, w którą się była ubrała na imieniny braciszka i ten sam biały fartuszek, jaki kładła na siebie, ilekroć wyręczała matkę w gospodarstwie. Płowe jej włosy, błękitnymi na końcach przewiązane wstążkami, powiewały z wiatrem, a twarzyczka zarumieniona była od prędkiego biegu.

— Gdzie też ona idzie — pomyślał sobie Guccio—czyżby mnie szukała i przeczuwała że tu jestem?

Serce mu mocno bić zaczęło. O jakże on kochał tę dobrą siostrzyczkę, jak pragnął ją uściskać!





Ale Helusia nie domyślała się nawet jego obecności: przybiegła ona do wieśniaka orzącego na polu i wyjąwszy z kieszeni woreczek, wysypała mu na rękę garstkę drobnej monety, mówiąc:

— Weźcie to mój pocziwy Walenty i kupcie butelkę wina dla waszej matki; zobaczycie że ją to wzmocni na siłach. Nie dziękujcie, nie, moi kochani, niema za co — dodała, gdy Walenty zdjąwszy czapkę, obejmował panienkę za kolana. — Ja tam dziś będę u was w chacie wieczorem; schowałam dla babusi rosółu z obiadu, to go jej przyniosę.

I jakby chcąc się od dalszych podziękowań uwolnić, spiesznie uciekła.

— Nazywałem ją skapą—myślał Guccio—a ona zbierała pieniądze na lekarstwa dla biednych, nie dla siebie. A jednak nie powiedziała mi tego wcale, kiedym jej skąpstwo wyrzucał. O! ileż ona jest lepsza odemnie, chociaż baba!

Tęskno mu się zrobiło gdy zniknęła. Już rozwijał skrzydła żeby ją dogonić, gdy na drodze prowadzącej od dworu ukazała się postać, na której widok serce Guccio zadrżało z radości. Była to jego matka. Zdawało mu się, że wieki już nie widział tej szczupłej, wysokiej postaci, pełnej godności i wdzięku—tej twarzy szlachetnej, delikatnej, otoczonej włosami ciemnoblond i tych oczu wielkich, szarych, tak często smutnych, patrzących zawsze na niego z wyrazem bezgranicznej miłości.



Pani H. bardzo zamysłona, szła prosto ku wzgórz, na którem widniała gromada małych i dużych krzyżów białych i czarnych, prostych i pochylonych w różne strony.

— Mama idzie na cmentarz — szepnął Guccio do siebie, czując bolesne ściśnienie serca i jakąś niewytłomaczoną obawę.

Wzbił się w powietrze i leciał za nią, unosząc się nad jej głową.

Pani H. otworzyła furtkę i minawszy kilkanaście grobów, zatrzymała się w miejscu, gdzie obok siebie leżały dwie mogiłki: jedna większa, druga mniejsza. Obie pokryte były zieloną darnią, pomiędzy którą rosły gęsto białe i różowe stokrotki. Nad mogiłami wznosił się krzyż brzoźowy, cały opleciony zwojami bluszczu, a u stóp krzyża była tablica z następującym napisem:

JANEK I ZYGMUŚ H

*zmarli razem dnia... roku...*

*Froszą o westchnienie do Boga.*

Tablicę otaczał wieniec ze świeżych kwiatów. Grób utrzymany był z nadzwyczajną starannością, śnać opiekowała się nim troskliwa i kochająca ręka; śnać ręka ta sama sadiła kwiaty, sama je podlewała i przystrzygała darń, sama oczyszczała z chwastu. Guccio wiedział już teraz, gdzie to jego mateczka chodziła tak często na spacer sama jedna, i czemu

Matka ojca zbywała wymijającymi odpowiedziami. On może zapomnieć o siostrze, przyjaciel o przyjacielu, ale matka nigdy nie zapomni o dziecku..

Gucio znał to miejsce, bywał tam czasem z siostrą, ale jak to było jego zwyczajem, patrzył nie patrząc. Więc i szczegółów, które dziś zobaczył, nie zauważył dotąd nigdy. Słyszał on nieraz od starszych braci, których bardzo mało pamiętał. Najbardziej umarli w jednym dniu po krótkiej chorobie, a grasującą we wsi błonicę— a matka, która wiecześnie poświęcała leczeniu i pielęgnowaniu dzieci kłóściańskich, i wyrzucała sobie że może zamała być ostrożną, własnym dzieciom przyniosła zaradę, o mało nie przyplaciła życiem tego wypadku. Słyszał że obaj uczyli się pilnie i wróżyli świetne nadzieje na przyszłość; a on, najmłodszy, najzdolniejszy ze wszystkich jak o nim mówiono, nie chciał się uczyć i lenistwem swoim ranił ciągle to biedne, zakrwawione serce matki, tak bardzo potrzebujące spokoju— zamiast pracować nad zabliznieniem jego ran, zamiast kochać matkę zdwojoną miłością, zamiast otoczyć ją troskliwymi staraniami i odsunąć od niej wszystkie troski, wszystkie zmartwienia... Helusia to robiła— a on co? Ach, gdy nad sobą się zastanawiał, zdawało mu się że jest zbrodniarzem! Patrząc w te smutne szare oczy, poprzysiągł



sobie, że nigdy już, nigdy ani jedna łza nie popłynie z nich, z jego przyczyny.

Pani H. ukłękła przy mogiłkach, popatrzyła nie i łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi.

— Dobrze z was były dzieci — szepotała — martwiście rodziców lenistwem i wstrętami. Guccio, tak jak Guccio, to też pewnie jesteście aniołkami i macie łaskę u Boga. Proszę was, proszę, żeby waszego brata natchnął Duchem Świętym i sprawił, aby pokochał pracę, od której tak ucieka na nasze zmartwienie i na swoją niedolę w przyszłości. O moje dzieci, moje najdroższe dzieci! Boże! Boże! czemu mi ich zabrałeś?

Guccio nie mógł dosłyszeć dalszych matki wyrazów, a może nie mogła już mówić od płaczu i łkania. Taki ból gwałtowny, taki żal ciężki nad biedną mateczką i nad sobą, takim przeszył jego serce, że nie widział jak przed nim stanęła wysoka postać w czarnym płaszczu mieniącym się iskrami i wyciągnęła ku niemu złotą laseczkę. Nie widział nic i zapomniawszy że jest tylko małym orłem, rzucił się do kolan matki, wołając z płaczem.

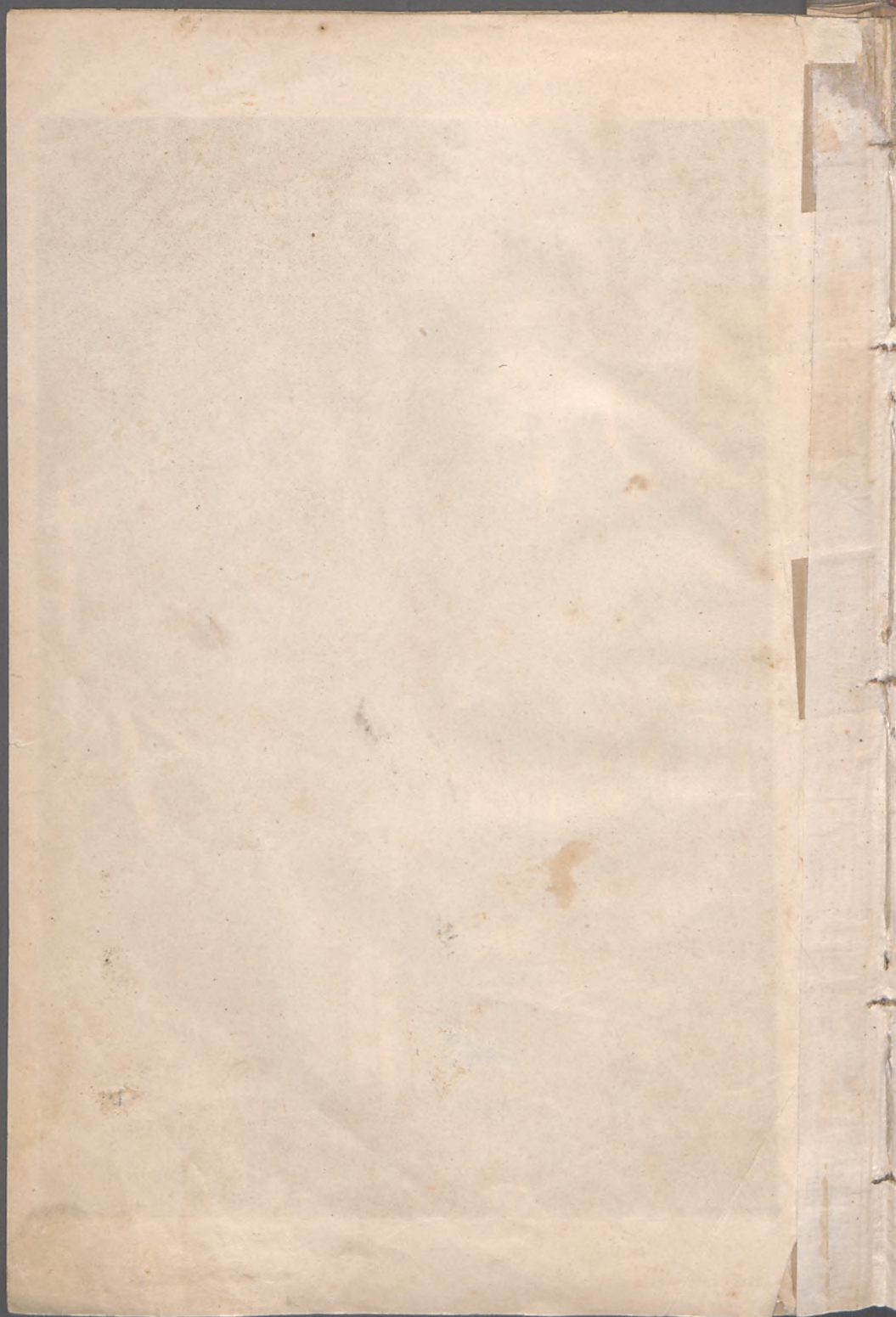
— Mateczko! mateczko! zgrzeszyłem przed tobą, przebacz mi, przebacz!



W. Tat. W. Kłowieckiego

Łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi.





## XIV.

### Gucio się przebudza.

---

— Guciu! Guciu! a wstawajże już śpiochu! Od dwóch godzin szukamy cię po całym ogrodzie, a ty tu sobie spokojnie śpisz pod drzewem. Pięknie przyjmujesz gości!

— Dobry gospodarz, ani słowa.— wołali chłopcy naprzemian, stając nad naszym bohaterem.

— I to jeszcze w swoje imieniny — dodał Janek.— Ale co tobie się śniło? Płakałeś przez sen. Musiało to być coś przykrego. Pewnie cię rozbójnicy napadli, i prosisz ich żeby ci darowali życie. No, gadajże!

Gucio otworzył oczy pełne jeszcze łez i popatrzył najprzód na kolegów, a potem na siebie. O radości! był znowu człowiekiem. Zamiast ciemnych wzdułż ciała obrączek, miał na sobie swoje piękne



niebieskie ubranie, a tuż przy nim na trawie leżał jego srebrny zegarek. A więc to wszystko co przez dwa dni wycierpiał, to był sen tylko? Dzięki Bogu!

— Gdzie mama? — zawołał nagle patrząc po obecnych—ja chcę widzieć mamę! Mateczko! mateczko!

— Jestem synku, jestem—zabrział tuż przy nim głos słodki — szukałam cię i niepokoiłam się o ciebie, ty śpioszku niedobry!

— O mateczko!—szeptał chłopiec tuląc się do jej kolan—byłem bardzo złym synem, to też Bóg mnie ukarał i zesłał mi sen straszny. Śniło mi się żeś was wszystkich utracił, że wróżka mnie zaczarowała w muchę. O mateczko, co ja wycierpiałem! jak tęskniłem do ciebie! Przebacz mi po raz ostatni! Będę się uczył, będę pracował, zobaczysz! Ale ty za to, mateczko kochana, nie będziesz już płakać tam, na cmentarzu... Czy dobrze?

Kochające ramiona objęły syna i przytuliły do piersi, a biedny chłopiec wzruszony tą tkliwą pieśczęcią, płakał tak gwałtownie, tak bardzo, że aż drżał cały.

— A to co znowu! — zabrzmiał mu nad uchem tubalny głos dziadka, który niespokojny także, przywędrował za innymi na swej drewnianej nodze, w towarzystwie ojca Guciwego — asan płaczesz? Wstydzę się mości wnuku, żeby beczyć jak baba! Mężczyzna beczy; słychane rzeczy!

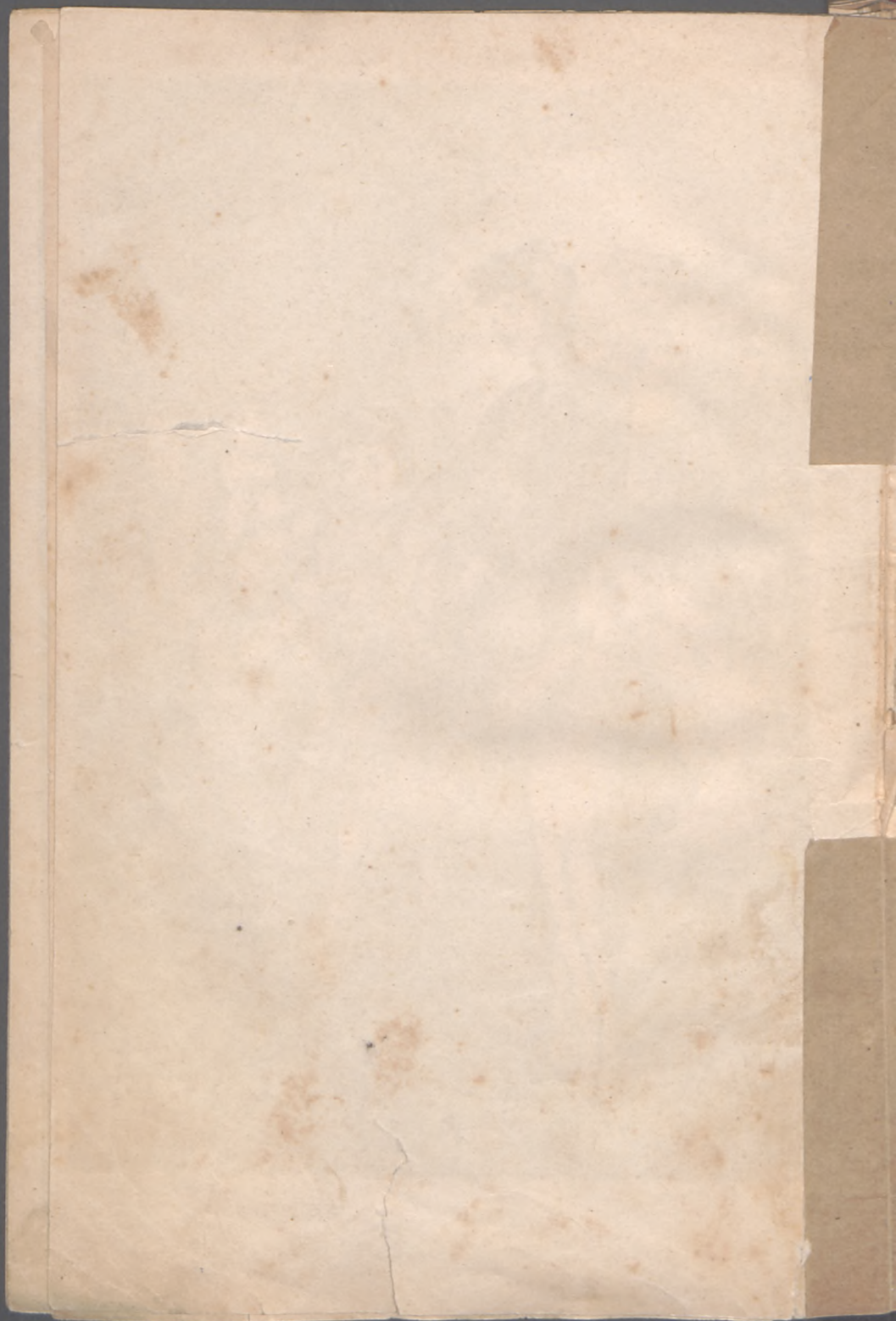




w Lit. W. Głowczewskiego

Przebudzenie się Gucia.





— Dziaduniu—odrzekł Guccio, obcierając oczy —niech się dziadunio nie gniewa, to już ostatni raz. Będę teraz prawdziwym mężczyzną, bo zacznę od jutra uczyć się tak pilnie, że z pewnością zdam za dwa lata egzamin do pierwszej klasy. Dziękuję dziadzi za przywiezienie nauczyciela, bardzo dziękuję.

Spiął się na palce i wyciągnął ręce, chcąc objąć za szyję dziadka. Starzec go podniósł, przycisnął do piersi i pocałował w głowę.

— Teraz mi się podobasz, chłopcze — mówił przesuwając rękę po jego jasnych włosach — widzę że zaczynasz mieć rozum i że będziesz jeszcze kiedyś porządnym człowiekiem. Ale opowiedzże nam do kataru, co ci się śniło.

— Tak, tak, niech opowie!—wołali chłopcy.

— Ale w pokoju —dodała pani H., bo tu nad wodą zaczyna się już robić chłodno. Chodźmy, herbata już na stole.

Guccio podniósł z ziemi swój zegarek i zobaczył ze zdziwieniem, że nie więcej jak dwie godziny upłynęły od czasu gdy się położył na trawie. Przyłożył go do ucha: zegarek szedł ciągle, tyk, tyk, tyk. Ostatnie blaski zachodzącego słońca było jeszcze widać, tylko na niebie ciemniało coraz bardziej i coraz gęstsze mgły unosiły się nad stawem.

Wszyscy ruszyli do domu, i skoro tylko zasiedli przy stole, Guccio na ogólne żądanie opowiedzieć



musiał zgromadzonym swoje senne przygody, od początku aż do końca. Chłopcy słuchali z wielkiem zajęciem i ustawicznie zwracali się do starszych z zapytaniami, czy też to może być prawda, co Guciovi śniło się o ptakach i owadach? A gdy pan Czesław oświadczył że prawda, i że jak na drugi raz przyjadą odwiedzić Gucia, to im pokaże przez mikroskop przywieziony z Krakowa, różne ciekawe rzeczy, jak trąbkę muchy, skrzydło pszczoły, nogę pająka—nie posiadali się z radości i obiecali prosić rodziców, żeby im pozwolili jak najprędzej przyjechać tu znowu.

Panna Anna objaśniła z kolei, że opowiadała nieraz Guciovi o owadach i zwierzętach, ale słuchając zawsze z roztargnieniem i myśląc przez ten czas o figlach, zapomniał wszystko co słyszał. Sen przypomniał mu to dopiero. Bardzo to naturalne zdawało się wszystkim, bo każdy smutek usposabia człowieka poważnie i do głębszego zastanowienia się prowadzi, duszę jego skupia niejako. Przypomina mu się wówczas wiele i z tego co go kiedyś przelotnie uderzyło. Matka zwróciła uwagę Gucia na potrzebę zastanawiania się nad sobą samym i nad otaczającymi go szczegółami, bo ze wszystkiego można wyciągnąć świadomość, która kiedyś przydać się może. Gucio pod wpływem świeżych jeszcze marzeń sennych, tem lepiej słowa mateczki zrozumiał i prawdziwość ich tem serdeczniej uznał.



Dotrzymał też słowa danego matce i dziadkowi: zabrał się do nauki z zapalem, i co ważniejsza, nie ostygł z tego zapалу wcale. W dobrej części było to także zasługą pana Czesława, który poznawszy naturę chłopca, umiał go zachęcić do nauki i przywiązać do siebie. Guccio też pojąwszy, że nauka prowadzi do zrozumienia wielu rzeczy na świecie, pragnął jak najwięcej wiedzieć.

Będąc ciągle zajęty, nie miał czasu się nudzić, wskutek czego i bawił się lepiej niż dawniej w wolnych chwilach, i twarz jego uderzająca dawniej jakimś nieokreślonym brakiem i dziewczęcą miękkością, nabrała wyrazu męskiego. Brakuje mu wprawdzie wąsów—no, ale i to przyjdzie z czasem! Dziadek powiada, że kiedy tylko miejsce na wąsy jest, to niema się o co kłopotać.

Ale nietylko słowa danego matce Guccio dotrzymał — dotrzymał także i tego, które dał we śnie wróblowi. Codzień starannie zbiera wraz z Helusią okruszyny chleba ze stołu i rzuca je ptaszkom; a gdy zima nadejdzie, ojciec na jego prośbę każe zawiesić nadedrzwiami dworku snopek zboża, dla biednych zgłodniałych ptaszków. Już mu to przyobiecał.







I.	Kto jest Gucio i dla czego się nudzi . . . . .	1
II.	Gucio obchodzi swoje imieniny . . . . .	8
III.	Gucia spotykają aż dwie niespodzianki . . . . .	16
IV.	Gucio w jaskini smoka . . . . .	29
V.	Gucio zabiera znajomość z wróblami . . . . .	43
VI.	Gucio nocuje w pałacu lilijowym . . . . .	57
VII.	Czarni rycerze . . . . .	69
VIII.	Gucio odpoczywa u tkacza pustelnika . . . . .	76
IX.	Gucio ocala zaklętą księżniczkę . . . . .	87
X.	Statek Gucia przybija do królestwa pszczół . . . . .	96
XI.	Królowa daje Guciovi posłuchanie . . . . .	107
XII.	Gucio rozstaje się z księżniczką . . . . .	121
XIII.	Gucio dowiaduje się gdzie jego mateczka chodziła często na spacer . . . . .	134
XIV.	Gucio się przebudza . . . . .	139



